
ELIZABETH BEVARLY

Przeznaczenie



Toronto • Nowy Jork • Londyn
Amsterdam • Ateny • Budapeszt • Hamburg
Istanbul • Madryt • Mediolan • Paryż • Praga
Sydney • Sztokholm • Tokio • Warszawa

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Była to burza śnieżna o sile nie spotykanej nawet w południo-wschodniej części Stanów. Droga prawie nie była widoczna, gdyż śnieg zasypywał grubą warstwą szyby samochodu. Cooper Dugan wcisnął sprzęgło i wrzucił niższy bieg. Lodowaty marcowy wiatr przenikający przez plastikowe drzwi i okna do wnętrza dżipa sprawił, że kierowca przemarzł do kości.

Rękoma zdrętwiałymi w skórzanych rękawicach z trudem odkręcił wieczko termosu, który niemal przez całą drogę trzymał między kolanami. Wypił łyk kawy. Była bardzo gorąca. Oparzył sobie język i polał brodę. Kawa wciekła mu aż za kołnierz, pod bluzę od dresu, którą włożył pod skórzaną kurtkę.

Zaklął siarczyście i przesunął dłonią po twarzy.

- Cholerny sposób spędzania sobotniego wieczoru - mruknął do siebie pod nosem.

Mam przecież wolny weekend, przypomniał sobie. I w tej właśnie chwili powinienem być na randce z tą nową pielęgniarką z oddziału kardiologii. Z dużą brunetką o ponętym biuście, który aż prosił się, żeby na nim złożyć głowę. Cooper w pełni zasługiwał na chwilę rozrywki. Należała mu się po osiemnastu dniach ciężkiej pracy bez żadnej przerwy.

I co?

Zamiast odpoczywać, zabawiał się w dobrego samarytanina. Odpowiedział na wezwanie burmistrza, który nawet nie płacił Cooperowi za stracony czas.

Faceci od przepowiadania pogody tym razem cholernie się pomylili. Nie przewidzieli nadejścia burzy śnieżnej, największej w historii Pensylwanii. Oznajmili, że nie ma się czego obawiać, bo zamieć i opady śniegu ominą ten obszar. I co? Pługi śnieżne nawet nie zdołały wyjechać z garażu zakładu oczyszczania miasta. I nadal, jak zawsze, ludzie mieli trudności z uzyskaniem niezbędnej pomocy lekarskiej.

Przeciw Cooperowi sprzysięgła się aura. Miał do czynienia z siłą wyższą.

Nie był nawet mieszkańcem Filadelfii. Co więc, do diabła, robił na szosie, marznąc do kości w swym dżipie z napędem na cztery koła, z trudem trzymającym się śliskiej i pełnej śniegu nawierzchni, jedząc stęchłe czekoladowe batoniki i rozlewając kawę na koszulę?

-Grzesznicy nie znajdują nigdy chwili wytchnienia - mruknął do siebie. - Podobnie jak sanitariusze pogotowia ratunkowego. Stary, następnym razem, kiedy przydarzy ci się coś takiego jak dziś, śnieg zasypie miasto, a burmistrz czy jakiś tam inny urzędnik państwowy ogłosi apel publiczny do wszystkich obywateli, którzy mają pojazdy mechaniczne z napędem na cztery koła i jaką taką umiejętność udzielania pierwszej pomocy... Stary, kiedy coś takiego jeszcze się powtórzy, pamiętaj, że w tym czasie masz być na wyspie Barbados!

-Cooper?

W radiotelefonie leżącym na siedzeniu kierowcy rozległy się trzaski. Cooper usłyszał kobiecy głos. Nie odrywając wzroku od drogi, którą i tak ledwie widział, po omacku sięgnął po aparat.

-Tak, Patsy. To ja - odparł, wcisnąwszy przycisk nadawania.

-Gdzie teraz jesteś?

Zaczął wypatrywać jakichś znaków wokół drogi. Bezskutecznie. Podniósł aparat i odparł:

-Nie mam pojęcia.

-Postaraj się zorientować, gdzie się znajdujesz. Westchnął, zwolnił jeszcze bardziej. Z boku drogi dostrzegł zarysy wysokich domów.

- Pewnie to Chestnut Hill - powiedział do Patsy. - Przynajmniej mam takie wrażenie. Powinienem tędy przejeżdżać. Och, są też drzewa. Gdzie jeszcze można je dostrzec w dolnej części Filadelfii? Chyba nigdzie.

Dyspozytorka odetchnęła z ulgą.

-Tak, to pewnie Chestnut Hill. Świetnie, Cooper. Mam dla ciebie następne zlecenie. Otrzymałam wiadomość, że sześćdziesięciosiedmioletni pacjent nie dotarł po południu na dializę. Zawieź go. Najszybciej, jak to możliwe.

-Najszybciej - mruknął Cooper. - Zrobi się.

Znał Patsy. Ona też tkwiła przez wiele godzin w dyżurce, zamiast w tym czasie zajmować się rodziną. Musiała być wykończona, podobnie jak on. Marzył o tym, żeby się przespać.

Zdażył już dziś przetransportować do szpitala czteroletniego chłopca, który złamał nogę. Dzieciak płakał i jęczał przez całą drogę. Potem udzielił pierwszej pomocy chorej na serce osiemdziesięcioletniej kobiecie, która zasłabła przed domem podczas odgarniania śniegu z podjazdu. Z miejscowej apteki rozwiózł lekarstwa niezbędne czterem ciężko chorym pacjentom, mieszkającym na przeciwległych krańcach miasta. Zawiózł nawet psa do weterynarza.

Uruchomił ponownie radiotelefon.

-Patsy - powiedział, siląc się na spokój. - „Najszybciej” to nie jest właściwe słowo. Jeśli śnieg nie przestanie padać, to będę miał duży fart, gdy do tego faceta dotrę jutro o świcie.

-Bylebyś tylko dotarł - warknęła dyspozytorka. Ona już chyba miała wszystkiego dość, podobnie jak on sam. Podała

Cooperowi adres, który starał się zapamiętać, gdyż nawet jedną ręką nie mógł puszczać kierownicy, by zapisać go w notesie. Pół godziny zajęło mu dotarcie do ulicy znajdującej się tylko o jedną przecznicę od miejsca, w którym przyjął zlecenie Patsy.

Pod wskazanym adresem z trudem odnalazł dom. Lub przynajmniej mu się wydawało, że trafił, gdzie trzeba. Wcale się tym nie przejmując, zaparkował nieprzepisowo pośrodku ulicy. Jaki inny idiota wyruszy z domu w tak koszmarną noc?

Odruchowo sięgnął po podręczną apteczkę, którą zawsze z sobą woził. Otworzył drzwi dżipa i naciągnął na głowę kaptur. Walcząc z napierającym wiatrem i śniegiem, pobiegł w stronę najbliższego domu.

Katherine Winslow akurat pakowała swoje rzeczy do torby podróżnej, chcąc uciec jak najdalej od miejsca, w którym teraz się znajdowała, kiedy nagle odeszły jej wody. Poczula, jak strumienie cieczy popłynęły po nogach, mocząc luźne spodnie. Stało się to trzy tygodnie przed planowanym terminem porodu, podczas okropnej zamieci śnieżnej, największej w dziejach Pensylwanii. I zaraz po odkryciu, że mężczyzna, którego uważała za swego męża, w rzeczywistości nim nie jest.

Niewielka to frajda, gdy jakaś obca kobieta zapuka do drzwi i oświadczy, że to ona jest prawowitą żoną człowieka, za którego wyszło się za mąż.

Katherine zwinęła się w kłębek pośrodku małżeńskiego łóżka. Od miesiący dzieliła je z człowiekiem, który tak naprawdę wcale nie był jej mężem. Przeszywały ją fale bólu. Rękoma przyciskała brzuch. Nie miała pojęcia, co robić. Była przerażona. William wiedziałby dokładnie, co należy teraz uczynić. Gdyby był w domu, a nie w podróży służbowej. Zadałby o nią tak,

jak robił to od chwili, w której się poznali. Zachowywałby się tak, jak przystało na idealnego męża.

Tyle że nie był jej mężem, uprzytomniła sobie Katherine. Zacisnęła oczy, gdyż znów poczuła bolesne skurcze. Kiedy prawie rok temu wchodził do kaplicy w Las Vegas, aby wziąć z nią ślub, jakimś dziwnym trafem zupełnie zapomniał, że jest już żonaty.

Jedno stanowiło niezaprzeczalny fakt. William był ojcem jej dziecka. Dziecka, które - jeśli Katherine uda się przeprowadzić to, co sobie umyśliła - nigdy, absolutnie nigdy nie zetknie się z człowiekiem, który przyczynił się do jego poczęcia. Niestety, wszystko wskazywało na to, że w stosunku do dziecka William miał inne, ściśle określone plany.

W tej chwili jednak Katherine martwiło co innego. Od kilku godzin męczyły ją przedporodowe bóle i nie miała pojęcia, co robić dalej. William zniechęcił ją do uczęszczania do szkoły rodzenia. Oświadczył, że kiedy nadejdzie dzień porodu, będzie miała najlepszą opiekę medyczną. To lekarze i pielęgniarki muszą wiedzieć, co należy robić, a nie przyszła matka. Katherine trochę czytała na ten temat, lecz teraz za nic nie potrafiła sobie przypomnieć, jak należało postępować.

Powinna zapewne do kogoś zadzwonić, pomyślała, spoglądając na aparat telefoniczny stojący na nocnym stoliku. Był jednak pewien szkopał. Wszyscy jej znajomi w Filadelfii byli przyjaciółmi Williama. Znał ich dłużej i lepiej niż ona. Tak więc wiadomość o tym, że lada chwili urodzi się dziecko, błyskawicznie dotrze do tego człowieka, który nie był przecież jej legalnym mężem.

Katherine poczuła następną falę bólu. Tak silnego, że aż krzyknęła.

I w tej oto chwili, jakby nie było dość nieszczęść, w całym domu zgasło światło.

Katherine przekręciła się na bok. Pragnęła, by to, co się działo, okazało się tylko koszmarnym snem. Nawet ciemność nie odebrała uroku mieszkaniu znajdującemu się w eleganckiej dzielnicy Chstnut Hill. William umeblował je antykami i przyozdobił cennymi wschodnimi dywanami. Katherine była zadowolona, że jej dziecko będzie dorastało w zamożnym domu, otoczone pięknymi przedmiotami, i nigdy nie pozna, co to ubóstwo i nędza.

Dopiero teraz uświadomiła sobie, że istnieją różne rodzaje ubóstwa. William stanowił tego najlepszy przykład. Cechowały go ubóstwo emocjonalne, moralne i duchowe.

Ten człowiek nie jest moim mężem, uprzytomniła sobie ponownie. I dobrze, uznała. Dzięki temu będzie miała większe szansę, gdy William zechce odebrać *jej* syna.

Znów przeszły ją ostre bóle. Krzyknęła głośno. Po raz pierwszy poważnie się przestraszyła. Zaczęła się bać.

Obawiała się, że coś złego stanie się dziecku. Była pewna, że bez względu na to, co zrobi, w sposób nieodwracalny zrujnowała sobie życie.

Położyła dłonie na wydatnym brzuchu i wyobraziła sobie, że obejmuje nimi jeszcze nie narodzonego syna.

- Wybacz mi - szepnęła, zalewając się łzami. - Wybacz mi, kochanie.

Cooper zapukał po raz trzeci. Bezskutecznie. Zaczął pięścią walić w drzwi. Przeklinał Patsy za to, że podała mu zły adres. Już zamierzał odejść, kiedy w radiotelefonie, który miał w kieszeni, coś zatrzeszczało i odezwał się głos dyspozytorki.

- Cooper, słyszysz mnie?

Uniósł aparat i przysunął mikrofon do ust.

- Tak.

- Przepraszam, ale chyba wysłałam cię zupełnie niepo-
trzebnie.

Cooper zaklął szpetnie kilka razy, zanim się trochę uspokoił.

-Co takiego? - zapytał.

-Ta notatka o dializie, którą ci przeczytałam, była nieaktu-
alna. Facet już miał zabieg i odwieziono go do domu. Przepra-
szam. Jechałeś na próżno. Nie powinieneś być teraz tam, gdzie
jesteś.

Cooper chciał właśnie oznajmić Patsy, że powinien być teraz w
ramionach ponętnej kobiety, która napoiłaby go solidną porcją
rozgrzewającego koniaku, lecz w tym momencie usłyszał prze-
jmujący kobiecy krzyk. Dochodził z za drzwi, w które dopiero co
walił pięścią.

Szybko położył rękę na gałce zamka i obrócił ją. Drzwi były
zamknięte. Z głębi mieszkania dobiegały dalsze przeraźliwe
krzyki. Nie namyślając się wiele, Cooper uniósł swoją metalową
kasetkę i zaczął uderzać nią w drzwi. Po kilkunastu próbach
udało mu się sforsować zamek.

Dostał się do mieszkania.

Było pogrążone w ciemnościach. Tylko przez okna wpadało do
wnętrza trochę światła sączącego się z ulicznych lamp. Usłyszał,
że obok ktoś ciężko oddycha. Domyślił się, że to kobieta, która
przed chwilą krzyczała. Ostrożnie, niemal po omacku, zrobił
kilka kroków.

- Halo? - zawołał. - Kto tu jest?

W odpowiedzi usłyszał zdławiony jęk.

- Halo? - powtórzył, tym razem już ciszej. - Proszę się nie
bać. Jestem sanitariuszem pogotowia ratunkowego. Postaram się
pani pomóc.

W pokoju zapanowała cisza. Cooperowi wydawało się, że
kobieta przestała oddychać. Serce zaczęło mu bić szybko. Jego

przemarznięte ciało ogarnęła fala gorąca. Ściągnął z głowy kaptur. Przesunął palcami po wilgotnych, przydługich, jasnoblond włosach.

Sam wstrzymał oddech. Czekał na jakiś znak, modląc się w duchu, żeby nie okazało się, iż pomoc nadeszła zbyt późno.

Po jakimś czasie dosłyszał słaby kobiecy głos, dochodzący z przeciwległego krańca pokoju.

- Pomoże mi pan?

Cooper ruszył powoli w stronę, z której padło pytanie.

-Tak. Pomogę. Ale gdzie pani jest?

-Proszę mi pomóc. Proszę!

Otworzył apteczkę i wyciągnął latarkę. Silnym snopem światła omiół ściany pokoju.

W kącie siedziała kobieta. O ciemnych, mokrych od potu włosach mimo chłodu panującego w mieszkaniu. O przerażonych, ogromnych szarych oczach. Przytrzymała rękoma potężnych rozmiarów brzuch. Zbliżał się poród.

- Och, nie - mruknął pod nosem Cooper. - Nie, nie, nie. Wszystko, byle nie to.

Ciężarna kobieta wyciągnęła rękę w jego stronę.

- Pomóż - szepnęła słabym głosem. - Proszę... Mojemu dziecku. Pomóż mojemu dziecku.

Cooper podniósł głowę. No, tak. Jeszcze tego brakowało, przy jego cholernym pechu. Trafił mu się poród w domu. Nie było bowiem żadnej szansy, żeby dowieźć tę kobietę na czas do szpitala. Jeszcze gorsze byłoby odbieranie dziecka na tylnym siedzeniu dżipa pośrodku szalejącej burzy śnieżnej.

Westchnął głęboko. Latarkę i apteczkę położył na niskim stoliku i znów popatrzył na kobietę wciśniętą w kąt pokoju.

-Jest pani sama w domu? - zapytał.

-Tak. Mąż... wyjechał z miasta.

Cooper potarł czoło.

- Chyba nie uda mi się dowieźć pani na czas do szpitala. Wygląda na to, że trzeba będzie tutaj odebrać dziecko. Jak pani się czuje? Dobrze?

W odpowiedzi skinęła głową.

Cooper poczuł ogarniający go chłód. Wycofał się z pokoju i zamknął frontowe drzwi. Wracając, dojrzał kominek i przygotowane polana. Dzięki Bogu, pomyślał, wystarczy tylko je podpalić, by trochę ogrzać zimne pomieszczenie.

Na gzymsie nad kominkiem leżało pudełko zapalek. Obok stały oprawne w ramki fotografie kobiety, która teraz, przerażona, siedziała skulona w kącie pokoju. Nie zwracając uwagi na zdjęcia, Cooper wziął pudełko, zapalił dwie zapalki i rzucił je na polana ułożone na palenisku. Po paru chwilach strzeliły w górę wysokie płomienie. Słabym, żółtawym światłem rozjaśniły pokój.

Cooper zwrócił się do kobiety:

- A więc czynności wstępne mamy już za sobą. Chyba tutaj trzeba będzie odebrać poród, bo wygląda na to, że ogrzewanie wysiadło w całym domu. Będą nam potrzebne czyste przeście radła, woda... Resztę niezbędnych rzeczy mam chyba ze sobą.
- Spojrzał na apteczkę. - Gdzie mogę znaleźć pościel i umyć ręce?

Katherine ze strachem wpatrywała się w sylwetkę nieznajomego, który nagle pojawił się w jej domu. W słabym świetle latarki i odbłasku płomieni z kominka zauważyła tylko, że jest wysoki, pięknie zbudowany i że ma jasne włosy. Jego głos, dźwięczny, a zarazem głęboki, nie działał uspokajająco. Nieznajomy wcale nie był zachwycony faktem, że czeka go niebawem praca położnika. Przedstawił się jako sanitariusz pogotowia ratunkowego, udzielający pierwszej pomocy. Musiał więc coś wie-

dzieć o odbieraniu porodu. Jedno było pewne. Wiedział więcej niż ona sama.

Ból w brzuchu ustąpił na chwilę, tak, że Katherine mogła odetchnąć swobodnie. Potem odpowiedziała sanitariuszowi na zadane pytania, wskazała, gdzie jest kuchnia, i oznajmiła, że tam może się umyć.

Zniknął natychmiast. Katherine oparła się ciężko o ścianę. Gdy odeszły wody, przebrała się w czystą koszulę nocną, ale nadal było jej zimno i miała dreszcze. Zapragnęła znaleźć się bliżej kominka. Gdy sanitariusz wrócił do pokoju, właśnie usiłowała się podnieść. Pomógł jej wstać i podejść do kanapy.

Zdziwiła ją jego masywna postura. Gdyby była mądra, z pewnością bałaby się tego człowieka. Jeśli chodzi o mężczyzn, nigdy nie wykazywała jednak ani odrobiny rozsądku. I teraz wcale nie wystraszyła się potężnie zbudowanego mężczyzny.

- Skąd pan się tu wziął? - spytała, gdy sanitariusz posadził ją na kanapie. - Skąd wiedział pan, że tu jestem? - Nie mogła powstrzymać się przed dalszą indagacją. - Czy... czy to William pana przysłał?

Mężczyzna stał zwrócony tyłem do Katherine. Przeglądał zawartość podręcznej apteczki i przygotowywał akcesoria niezbędne do przyjęcia porodu.

- A kto to jest William? - zapytał, nie przerywając swego zajęcia.

- Mój... mój mąż. Czy to on kazał panu tu przyjechać? Sanitariusz zaprzeczył ruchem głowy. Był nadal zaabsorbowany tym, co robił.

- Nie - odparł. - Moja obecność w tym domu to po prostu czysty przypadek. Miała pani piekielne szczęście, że się tutaj zjawilem.

Katherine chętnie zadałaby nieznajomemu dalsze pytania, ale znów zaczęły się bóle. Zamknęła oczy i zacisnęła zęby.

- Kiedy wysiadła elektryczność? - zapytał sanitariusz, odwróciwszy się twarzą do Katherine.

Opuściła rękę na brzuch.

- Nie wiem. Gdy odeszły mi wody, było jeszcze widno. To było o czwartej lub wpół do piątej. Która jest teraz?

Sanitariusz uniósł rękę z zegarkiem w stronę zapalonej latarki.

- Minęła dziewiąta. Ma pani bóle od pięciu godzin?

Katherine zastanawiała się przez chwilę. Bóle zaczęły się później, niż odeszły wody. Ale nie pamiętała, kiedy.

- Nie wiem - odparła.

Sanitariusz pochylił się tak, że jego twarz znalazła się na wprost jej twarzy. Katherine zobaczyła wydatny, kształtny zarys policzków. I żywe, zielone oczy. Wargi pełne i ładnie wykrojone. Bardzo, bardzo męskie.

Wyciągnął do niej rękę, lecz szybko ją cofnął i oparł na kolanie.

- Jak się pani nazywa? - zapytał.

Otworzyła usta, aby powiedzieć prawdę, lecz zaraz je zamknęła. W rzeczywistości prawda byłaby kłamstwem. Nie była przecież Katherine Winslow. Kobieta o tym imieniu i nazwisku w ogóle nie istniała. Nie było żadnej Katherine Winslow. Jej związek małżeński z Williamem okazał się fikcją.

Odparła więc:

- Jestem Katie Brennan.

Tak nazywała się przedtem. W poprzednim życiu. I teraz to też jej odpowiadało.

- Katie Brennan - powtórzył *mężczyzna*.

Uśmiechnął się.

Po raz pierwszy od wielu, wielu godzin Katie poczuła ulgę. Tym razem nieznajomy nie cofnął się, lecz wziął ją za rękę.

- Miło cię poznać, Katie - powiedział ciepłym głosem. - Jestem Cooper. Cooper Dugan. Jak już ci wspomniałem, pracuję jako sanitariusz pogotowia ratunkowego. Udzielam pierwszej pomocy. Będę z tobą zupełnie szczerzy. Nigdy jeszcze nie odbierałem porodu. To znaczy, wiem dobrze, jak to się robi, ale własnoręcznie nie... - zawiesił głos. - To twoje pierwsze dziecko? - spytał łagodnym tonem.

Potwierdziła skinieniem głowy. Nagle zmalowało jej zaufanie do nieznajomego.

- Oboje robimy to pierwszy raz - podsumował Cooper. - A więc mamy z sobą coś wspólnego.

Katie miała ochotę się odezwać, lecz znów przeszły ją bóle, znacznie silniejsze niż poprzednio. Zaczęła głośno krzyżeć. Z całej siły ścisnęła rękę Coopera Dugana.

- To będzie okropna noc.

Nie zdawała sobie sprawy z tego, że słowa te wypowiedziała na głos, dopóki siedzący obok sanitariusz nie skinął głową i nie potwierdził:

- Tak.

Katie zobaczyła, że sięga do kieszeni kurtki i wyjmuje z niej radiotelefon.

Uruchomił aparat.

- Patsy - powiedział z lekkim westchnieniem. - Tu Cooper Dugan. Lepiej od razu skreśl mnie z listy. Wygląda na to, że nie mogę przyjąć następnych zleceń. Na pewien czas będę... wyłączoney.

ROZDZIAŁ DRUGI

Nadszedł wreszcie ranek. Jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki ustała zamieć śnieżna. Za oknami można było teraz podziwiać przepiękny zimowy krajobraz. Płatki śniegu wirowały w powietrzu, w domu Katie włączono prąd elektryczny, a Cooper odebrał poród dziarskiego chłopczyka.

Ten ostatni fakt nadal był dla niego czymś niezwykłym.

Mimo że włączono ogrzewanie, w kominku palił się ogień i trzaskały polana. Lampy rzuciły przyćmione światło na wnętrze pokoju. Cooper siedział na podłodze, ubrany w przedpotopowe niebieskie dżinsy i bawełnianą koszulkę. Znajdował się nadal w przestronnym, eleganckim mieszkaniu Katie, urządzonym bogato i z przepychem, jakiego przedtem nie potrafiłby sobie nawet wyobrazić. Teraz, nie zwracając uwagi na otoczenie, z napięciem wpatrywał się w śpiącą matkę i dziecko, za które czuł się w jakimś sensie odpowiedzialny.

Przypomniawszy sobie wierzenia z innych kulturowych kręgów, że człowiek, który komuś ocalił życie, staje się za niego odpowiedzialny. Cooper uważał, że taka sama zasada powinna odnosić się także do dziecka, któremu pomogło się przyjść na świat. Chyba tylko dlatego czuł, że z małym facecikiem, śpiącym spokojnie w ramionach matki, łączy go ścisła więź.

Przyglądał się także jego matce. Z niewiadomego powodu czuł się również odpowiedzialny za Katie Brennan. Leżała na podłodze ze stosem poduszek podłożonych pod głowę i plecy,

naga pod warstwą okrywających ją prześcieradeł. Miała sińce pod oczami, a ciemne włosy, odgarnięte z czoła, zwisały po bokach twarzy w postaci wilgotnych kosmyków.

Nic nie wiedział o tej kobiecie. Znał tylko jej nazwisko i adres. Nie potrafił jednak wyzbyć się przeświadczenia, że coś ją z nim łączy.

Spojrzenie Coopera zatrzymało się na pierścionku, który Katie miała na palcu lewej ręki. Wyglądał na bardzo kosztowny. Był wysadzany brylantami. Tego rodzaju pierścionek mężczyzna ofiarowuje zamiast ślubnej obrączki kobiecie, gdy pragnie na zawsze zatrzymać ją przy sobie. Coopera nigdy nie byłoby stać na tak drogi podarunek, gdyby nawet bardzo kochał jakąś kobietę. Katie Brennan była przyzwyczajona do luksusowego życia, całkiem odmiennego od jego własnego.

Nie miało to zresztą żadnego znaczenia. Była kobietą zamężną, połączoną z innym mężczyzną więzami znacznie silniejszymi niż te, które reprezentował jej brylantowy pierścionek przypominający obrączkę. Urodziła dziecko. Potomka swojego męża. Takich więzów nic nie jest w stanie rozerwać.

Cooper splótł palce na karku. Potarł mocno głowę. Stwierdzenie, że była to męcząca noc, w żaden sposób nie oddawało tego, co przeżył wraz z Katie. Był wykończony. Ona musiała znajdować się w znacznie gorszym stanie. Podczas porodu krzyczała wniebogłosy, on na nią wrzeszczał i oboje klęli jak pijani marynarze.

Parła i przestawała. Parła i przestawała, krzycząc z bólu. On przemawiał łagodnie, a zaraz potem wymyślał jej, a nawet groził. I gdzieś nad ranem, gdy słońce zaczęło lekko złocić niebo, przyszedł na świat mały człowieczek. Andrew Cooper Brennan. To, że chłopczyk otrzymał drugie imię Cooper, było pomysłem Katie. Pierwsze, Andrew, było po jej ojcu. A kiedy Cooper

zapytał, jak jej mąż zareaguje na wiadomość, że jego syn nosi drugie imię po nieznanym, wycieńczona młoda mama uśmiechnęła się smutno i powiedziała, że Cooper jest dla niej mniej obcy niż własny mąż. Zanim zdołał poprosić o wyjaśnienie, co miała na myśli, zapadła w sen. Uznał, że po porodzie musiała być niezbyt przytomna i nie wiedziała, co mówi.

Odkąd zasnęła, wzrok Coopera kilkakrotnie zatrzymywał się na gzymsie nad kominkiem, gdzie stały oprawne w ramki fotografie. Na jednej z nich Katie obejmowała za szyję dużego owczarka collie. Oboje mieli przy tym zachwycone miny. Na innym zdjęciu Katie ubrana w duży słomkowy kapelusz z szerokim rondem uśmiechała się nieśmiało. W tle widać było spokojne, turkusowe morze. Trzecia fotografia przedstawiała Katie w towarzystwie przystojnego mężczyzny, pewnie męża. Stali oboje obok czarnego, lśniącego jaguara i do rozpuku z czegoś się śmieli.

Nad kominkiem było jeszcze jedno zdjęcie, charakterem różniące się od innych, lecz, zdaniem Coopera, bardziej pasujące do Katie niż pozostałe, mimo że pochodzące z jej dziewczęcych lat. Znajdowała się na schodkach starego wiejskiego domu, a tuż za nią stali mężczyzna i kobieta. Każde z nich trzymało rękę na ramieniu dziewczynki. Miny mieli poważne i surowe. Tylko Katie uśmiechała się smutno.

Cooper oderwał wzrok od fotografii. Jego spojrzenie zatrzymało się na śpiącej kobiecie.

Znów poczuł się za nią w jakimś sensie odpowiedzialny. Nie tylko zresztą za nią, lecz także za dziecko. Nie mógł pozbyć się tego dziwnego wrażenia. Po chwili zobaczył, że Katie otwiera oczy. Obdarzyła go uśmiechem.

- Dzień dobry - odezwała się miękkiem głosem. Mimo dwugodzinnego, zdrowego snu wcale nie wyglądała na wypoczętą.

Cooper odwzajemnił uśmiech. Odparł (niema) szeptem:

- Dzień dobry.

Popatrzyła na dziecko spoczywające w ramionach. Obudziło się i cicho popłakując, zaczęło szukać sutki. Katie pomogła mu i po paru nieudanych próbach niemowlak wreszcie odszukał to, na czym mu zależało, i z zapalem zaczął ssać matczyną pierś.

- Muszę znaleźć kogoś, kto o karmieniu wie więcej niż ja

-powiedziała Katie, napotkawszy ponownie wzrok Coopera.

-Ani Andrew, ani ja nie wiemy, jak się do tego zabierać.

Po raz pierwszy Cooper dosłyszał nieznacznego południowego akcentu kobiety. Najwyraźniej nie pochodziła z najbliższych położonych stanów.

Usłyszawszy jej słowa, wzruszył lekko ramionami.

- W szpitalu z pewnością znajdzie się ktoś, kto udzieli ci wszystkich niezbędnych wskazówek. W najgorszym razie doradzą odpowiednią literaturę.

Na wargach Katie zamarł uśmiech.

- W szpitalu?

Cooper podniósł ręce nad głowę i przeciągnął się.

-Burza śnieżna ustała, więc pługi przetrą zasypane drogi. Wygląda na to, że tu, w twojej dzielnicy, mieszka wielu bogatych podatników. Jest więc szansa, że Chestnut Hill odśnieżą w pierwszej kolejności. - Cooper miał nadzieję, że cierpki podtekst jego komentarza nie dotrze do Katie.

-Ale... - urwała.

-Ale co? - zapytał. - Chcesz chyba jak najszybciej znaleźć się w szpitalu, żeby się upewnić, czy z tobą i dzieckiem jest wszystko w porządku?

Katie potrząsnęła głową.

-Wiem, że wszystko jest w porządku.

-Skąd ta pewność?

- Wiem i już.

Fakt, że ta kobieta nie chce skorzystać z lekarskiej opieki, był dla Coopera dość dziwny i niezrozumiały.

- Powinni jednak was zbadać. Trzeba się upewnić, że wszystko gra. Przed chwilą dzwoniłem do szpitala. Przyślą karetkę po ciebie i małego. Oczywiście, ze względu na zasypane drogi nie nastąpi to szybko.

Twarz Katie zrobiła się jeszcze bledsza niż poprzednio.

-Co zrobiłeś? - spytała zbielełymi wargami.

-Skontaktowałem się telefonicznie ze szpitalem. Za jakieś dwie godziny przyjedzie tu karetka po ciebie i dziecko. To standardowe postępowanie. Na czym więc polega problem? - zapytał, widząc dziwną reakcję Katie na usłyszane słowa.

Zastanawiała się, co robić dalej. Problem polegał na tym, że w szpitalu trzeba będzie od razu formalnie zgłosić urodzenie dziecka. I odpowiedzieć na wiele pytań, między innymi dotyczących jego ojca. Katie wiedziała, że z prawnego punktu widzenia rejestracja dziecka jest konieczna. Cały szkopuł polegał jednak na tym, że jeśli załatwi niezbędne formalności, ułatwi potworowi odebranie jej synka na zawsze.

Gdy nazwisko Williama znajdzie się w akcie urodzenia dziecka, dobrze opłacani, nieuczciwi adwokaci będą mieli dowód na piśmie. Czarno na białym. Z łatwością zrobią wszystko, żeby Katie już nigdy więcej nie ujrzała synka.

-Nie mogę jechać do szpitala - oznajmiła. Zdziwiony Cooper uniósł brwi.

-Dlaczego?

-Nie mogę. Po prostu nie mogę. Zadzwoń i odwołaj karetkę. Powiedz, że była to pomyłka.

-Pomyłka? Jak ty to sobie wyobrażasz? Zadzwonię i oznajmię: „Cześć, tu znów Cooper. Pamiętacie, że odbierałem poród?

Tak? A więc to nieprawda. Odbierałem pizzę, a nie dziecko. Przepraszam, coś mi się wtedy pokręciło". Tak mam powiedzieć?

-Nie, oczywiście, że nie. Ale jest bardzo ważne, żebym wraz z dzieckiem nie znalazła się w szpitalu.

-Dlaczego?

-Po prostu nie mogę. Przestań wreszcie mnie męczyć.

-Wielka szkoda, ale, chcesz czy nie chcesz, wraz z dzieckiem znajdziesz się jednak w szpitalu. Sam tego dopilnuję. Pojadę z wami i po drodze ani na chwilę nie zostawię was samych, żebyście bezpiecznie dotarli na miejsce.

Katie otworzyła usta, aby ponownie zaprotestować, lecz szybko je zamknęła. Jej opór byłby bezcelowy i dobrze zdawała sobie z tego sprawę. Z Cooperem spędziła od wczoraj wiele godzin. Wiedziała, że go nie przekona.

Spojrzała na dziecko, które nadal łakomie ssało pierś. Andrew był różowy i tłusciutki. Bardzo mały i bezradny. Katie poczuła nagle, że ona sama ponosi za niego pełną odpowiedzialność. Musi dziecku zapewnić bezpieczeństwo. Nie zezwolić, by stała mu się krzywda. Zadbać, żeby miał w życiu wszystko, co najlepsze. Był szczęśliwy i cieszył się życiem. Do niej należało zapewnienie, aby William Winslow nigdy nie odebrał jej swego syna.

Dlatego Katie musiała się upewnić, że ona sama i mały Andrew są w dobrej formie. Zanim zaczną się ukrywać.

Ponownie spojrzała na Coopera.

- Zgoda. Pojedziemy do szpitala.

Odetchnął z udawaną ulgą.

-Och, jestem ci za to głęboko zobowiązany - powiedział z przekąsem.

-Twoje kpiny są nie na miejscu - odparła ze zmarszczonym czołem.

Nagle Katie uprzytomniła sobie, że w całkowitym negliżu siedzi pośrodku salonu w towarzystwie człowieka, którego ledwie знаła. Mężczyzna, który pomógł jej urodzić dziecko. Ktoś, kto na dzinsach i bawełnianej koszulce nadal miał ślady krwi jej i poczętego przez nią dziecka. Zdumiała ją intymność powstałej sytuacji. Nerwowo podciągnęła kołdrę aż pod brodę.

Spojrzenie Coopera przesunęło się szybko po jej postaci i przez chwilę wydawało się Katie, że mężczyzna lekko poczerwieniał na twarzy. Uśmiechnęła się z zadowoleniem. Mimo tego, przez co przeszli oboje ostatniej nocy, nadal szanował jej skromność.

-A więc... - zaczął. - Głos miał spokojny i brzmiało w nim rozbawienie. - Gdzie jest pies?

-Jaki pies?

Wskazał na fotografie stojące nad kominkiem.

-Owczarek collie. Gdzie on jest?

-To nie on, lecz ona - odruchowo poprawiła Katie. - Jest własnością mojej starej przyjaciółki z Las Vegas. Nie widziałam ich już prawie rok.

-Pochodzisz z Las Vegas? - zapytał Cooper, ponownie spoglądając na Katie. - To dziwne. Przysięgłbym, że masz akcent osoby pochodzącej z południa.

Roześmiała się lekko i przyłożyła dziecko do drugiej piersi. Podniosła głowę dopiero wtedy, kiedy znów zaczęło ssać. Zobaczyła, że Cooper odwrócił wzrok. Uśmiechnęła się szerzej.

-Jeszcze mam? - spytała. - Sądziłam, że udało mi się całkownie go pozbyć.

-A więc pochodzisz z południa?

-Tak. Z zachodniego Kentucky. Miałam kuzynkę, która mieszkała w Las Vegas, i po skończeniu liceum pojechałam do niej. Jakies osiem lat temu, żeby zrobić karierę jako piosenkarka. Ze

śpiewania nic nie wyszło. Skończyło się na tym, że zostałam kelnerką. Pracowałam w restauracji dopóty... dopóki nie poznałam Williama.

Cooper skinął głową, lecz się nie odezwał.

-A ty? - spytała Katie.

-Co: ja?

-Jesteś żonaty? Masz dzieci?

Roześmiał się nerwowo.

-Nie.

-Nie należysz do facetów chętnych do żeniaczki?

-Nie należę- odparł z taką pewnością w głosie, że Katie nie miała żadnych wątpliwości co do prawdziwości jego słów. Do wiedziała się tego, na czym jej zależało.

-Aha.

-Ani do niańczenia dzieci - dodał pospiesznie, tak jak gdy by wyjaśnienie to było niezbędne.

Katie ze zrozumieniem skinęła głową.

- Jeśli w przyszłości, na łożu śmierci, pożałujesz tej decyzji, przypomnij sobie, że jesteś odpowiedzialny za przyjście na świat przynajmniej jednego dziecka. Nie wiem, co ja i Andrew zrobi libyśmy bez ciebie, gdybyś wczoraj tu się nie zjawił. Tym, którzy przez pomyłkę przysłali cię do mnie, powinnam wysłać list dziękczynny.

Cooper przetarł zmęczone oczy.

- Żadne podziękowania nie są mi potrzebne. Jestem przekonany, że było to przeznaczenie. Tak chciał los.

Katie otwarcie zaczęła przyglądać się Cooperowi. Znów się przeciągnął. Pomyślała, że jeśli pozostawał kawalerem, to z pewnością nie dlatego, że nie interesowały się nim kobiety.

Podczas wspólnie spędzonej nocy Katie mało uwagi zwracała na swego towarzysza. Teraz jednak, w łagodnym świetle pier-

wszcych promieni słonecznych zwiastujących nadchodzący poranek, kiedy to syn, jej nowo narodzony syn zasnął ponownie w jej ramionach, nadeszła właściwa chwila, żeby lepiej przyjrzeć się człowiekowi, który poprzedniego wieczoru pojawił się znikąd, wynurzywszy się z ciemności i śnieżnej zamieci.

Był mężczyzną ładnym. Po prostu ładnym. Zgrabnym i dobrze zbudowanym. Katie nie mogła sobie przypomnieć, kiedy widziała faceta przystojniejszego od Coopera. W każdym razie z pewnością nigdy nie miała do czynienia z człowiekiem bardziej opanowanym. Zupełnie zrozumiałe, że w nocy denerwowała się i była przerażona. Za każdym razem Cooperowi udawało się ją uspokoić. Nigdy nie zapomni łagodnego brzmienia jego głosu kojącego ból w ostatnich godzinach rodzenia. Nigdy nie zapomni także jego silnych rąk, które delikatnie położyły niemowlę na brzuchu matki z chwilą, gdy przyszło na świat.

Katie lekko się poruszyła. Skrzywiła się, czując ostry ból spowodowany zmianą pozycji ciała.

Już kilkakrotnie przychodziło jej do głowy, że byłoby lepiej, gdyby Cooper Dugan był ojcem dziecka. Jeśli nie on sam, to przynajmniej mężczyzna jego pokroju. Jak to się stało, że Williamowi udało się ją omotać? Jak mogła okazać się tak beznadziejnie naiwna i głupia?

Otworzyła usta, żeby odezwać się do Coopera, ale natychmiast zapomniała, co zamierzała powiedzieć. Ogarnęło ją nagle zmęczenie. Słaba i wyczerpana, po chwili stała się tak bezwładna, że nawet nie miała siły odgarnąć włosów opadających na czoło.

- Potrzebuję snu - wyszeptła z wysiłkiem, zanim zamknęły się jej powieki.

Nie była tego pewna, lecz tuż przed zapadnięciem w sen wydawało się jej, że słyszy cichy głos Coopera:

- Tak. Śpij.

Zdażyła jeszcze pomyśleć: och, Cooper, gdybyś ty tylko mógł...

Przez parę minut przyglądał się śpiącej Katie. Potem obrzucił wzrokiem swoje poplamione krwią ubranie. Był sanitariuszem, więc widok ten nie robił na nim wrażenia. Teraz jednak, gdy była to krew należąca do Katie, poczuł się dziwnie. Zwykle krew, którą zmywał z siebie, pochodziła z ofiar tragicznego wypadku lub aktu przemocy. Na co dzień miał do czynienia z ranami *postrzałowymi lub zadanymi nożem czy też z innymi*, mechanicznymi uszkodzeniami ciała. I zbyt często jego wysiłki, by uratować ofiary, były daremne.

Ale nie tym razem. Zamiast być świadkiem ostatniego tchnienia, Cooper usłyszał pierwszy oddech. Tym razem istota ludzka, którą się zajmował, nie była bezwładna i bez życia, lecz wierciła się w jego rekach. Cooper był niemal szczęśliwy, stając się świadkiem powstawania nowego życia. I nie ogarniała go bezsilna złość, że ponownie widzi jeszcze jedną, bezsensowną śmierć.

Tym razem, po raz pierwszy w życiu, poczuł dziwne ciepło rozlewające się wokół serca. Była to zupełnie nie znana mu reakcja. Nie potrafił jej zrozumieć.

Odpędziwszy niezwykle myśli, poszedł do kuchni. Był tu już kilka razy. Dopiero teraz zauważył, jak bardzo jest elegancka i jak doskonale wyposażona. Brennanowie mieli nawet duży, mosiężny dzbanek do zaparzania kawy, wyglądający na zupełnie nowy i nie używany. Cooper uznał, że niektórym ludziom za dobrze się powodzi. Podeszedł do zlewu i ściągnął przez głowę poplamioną koszulkę.

Cisnął ją do pojemnika na śmieci, a potem napełnił wodą zlew. Nałożył względnie czystą bluzę od dresu i wyszedł z kuchni. W sypialni lub w jakimś innym miejscu spodziewał się

znaleźć torbę, którą kobiety w zaawansowanej ciąży trzymają na podorędziu, z rzeczami mogącymi się przydać w szpitalu. Matki spodziewające się pierwszego dziecka bywają zazwyczaj aż nadto przezorne. Miesiąc wcześniej kompletują zawartość torby, wkładając do niej zbyt wiele rzeczy.

Cooper odnalazł sypialnię. Tu zdziwił go widok ogromnej walizki stojącej na środku pokoju oraz sterty przeróżnych damskich strojów i kosmetyków leżących obok na podłodze. Jak na przewidywany krótki pobyt w szpitalu było tego z pewnością zbyt wiele. Wszystkie rzeczy znajdowały się w nieładzie. Wyglądało na to, że kiedy Katie zaczęła się pakować, Andrew zdecydował się dać o sobie znać.

Cooper popatrzył podejrzliwym wzrokiem na leżące przed nim ubrania. Katie powiedziała mu, że dziecko urodziło się trzy tygodnie przed planowanym terminem porodu. Nie mogła więc przewidzieć, co stanie się tego wieczoru. Pakując się wczoraj, nie miała na myśli pobytu w szpitalu.

A więc dlaczego to robiła?

Cooper nie znalazł odpowiedzi na swoje pytanie. Pewnie pakowanie walizki było czynnością zupełnie normalną. Może chciała jechać do męża, a może zamierzała odwiedzić krewnych? Wyjaśnienie mogło okazać się jeszcze prostsze. Katie wkładała do walizki niepotrzebne rzeczy, aby ją potem, na przykład, wepchnąć pod łóżko.

W każdym razie to, co robiła, chyba nie powinno go obchodzić. Nie chyba, lecz na pewno, poprawił się w myślach Cooper. Sprawy Katie i to, co zamierzała robić, nie powinny go interesować. Nie miały dla niego absolutnie żadnego znaczenia. Ostatniego wieczoru znalazł się o właściwiej porze we właściwym miejscu - przynajmniej z punktu widzenia tej kobiety - i był

w stanie przyjść jej z pomocą w bardzo trudnej życiowej sytuacji. Kiedy tylko karetka zabierze do szpitala ją i dziecko, skończy się wszystko, co ich dotychczas łączyło. Nadal będą sobie obcy. Nigdy więcej Cooper Dugan nie ujrzy Katie Brennan.

Dlaczego jednak uprzytomnienie sobie tego oczywistego faktu zbulwersowało go tak bardzo?

Niewiele myśląc, pozbierał porzrzucone rzeczy Katie i poukładał je porządnie na łóżku. Potem wziął to, co, jego zdaniem, będzie jej przydatne w szpitalu, a więc obszerną, bawełnianą bieliznę, podobnie szeroką koszulę, skarpetki i parę innych ciuchów, na tyle dużych, by zdołała w nie zmieścić swój jeszcze pokaźny brzuch. W szafie *znalazł* wytworną torbę od Louisa Vuittona i wrzucił do niej wybrane rzeczy.

Starał się nie myśleć o tym, jak bardzo intymne czynności wykonuje w tej chwili. Podobnie w nocy nie myślał o porodzie Katie, który zmuszony był odbierać. Przez cały czas odczuwał jednak jakiś dziwny związek z tą kobietą. Nie da się ukryć, intymny.

Był przecież dojrzałym mężczyzną. Już wcześniej zdarzało mu się widywać nagie kobiety i robić rzeczy wykraczające poza zwykłe międzyludzkie stosunki. Katie Brennan była dla niego osobą obcą. Dlaczego więc jego stosunek do niej miał inny charakter?

Odpędził niepokojące go myśli i dręczące pytania, które opadły go z chwilą, gdy przekroczył próg tego domu, ale ciągle powracały i nękały od nowa. Gdzieś głęboko utkwily mu w głowie i Cooper zdał sobie sprawę z tego, że chyba nigdy nie wymaże z pamięci nocy, którą spędził z Katie Brennan i jej synem.

Może to i dobrze, uznał, po chwili zamykając za sobą drzwi sypialni. Już nigdy więcej nie będzie aż tak aktywnie uczestniczył w narodzinach lub życiu jakiegoś dziecka.

ROZDZIAŁ TRZECI

Katie obudziły jakieś głosy. Uprzytomniła sobie, że zasnęła na wózku, którym jechała na salę. Gdy otworzyła oczy, ujrzała Coopera Dugana wesoło rozmawiającego z kobietą ubraną w szpitalny strój. Katie zdobyła się na uśmiech, na chwilę zapominając, kim jest i co się jej przydarzyło. Czuła przy sobie obecność Coopera i było jej dobrze. Nie pragnęła niczego więcej. Zaraz potem dziecko, które trzymała w ramionach, przytuliło się mocniej i od razu przypomniała sobie, że są w życiu sprawy znacznie ważniejsze niż widok śmiejącego się, przystojnego mężczyzny.

Z rozczuleniem pochyliła głowę, żeby dotknąć policzkiem małej główki dziecka, pokrytej ciemnymi włoskami. Pocałowała je i mocniej przytuliła do siebie. Pielęgniarka i salowa pomogły jej przejść z wózka na łóżko. W ostrym, jasnym świetle lampy z zachwytem znów popatrzyła na synka. Nowego mężczyznę w jej życiu.

Do tej pory Katie często miewała do czynienia z mężczyznami. Z reguły odchodzili. Lecz Andrew pozostanie z nią na zawsze. Już wyczuwała zachodzące w sobie zmiany. Na lepsze. Dotychczas żyła dość bezmyślnie, zupełnie nie przejmując się przyszłością. Teraz miała ściśle wytyczony cel. Narodziny dziecka nadały jej egzystencji określone znaczenie. I dostarczyły sił, by nigdy nikomu nie pozwoliła odebrać sobie synka.

Myśl ta nie przeraziła Katie. Wręcz przeciwnie, podziałała

uspokajająco. Obserwując inne rodziny, zawsze bardzo obawiała się macierzyństwa. Teraz pojęła ogrom odpowiedzialności spoczywający na kobiecie.

- Katie?

Z drugiego końca pokoju dobiegł łagodny głos Coopera. Podniosła głowę i zobaczyła, że zbliża się powoli do jej łóżka. Stał obok i wyciągniętą ręką niemal machinalnie odgarnął jej włosy opadające na czoło. Potem delikatnie objął główkę dziecka i przesunął palcem po pyzaty policzku.

- Jak się czujecie? - zapytał spokojnym tonem. - Bardzo was zmęczyła szybka jazda karetką?

Katie zaprzeczyła ruchem głowy.

-Nie - szepnęła. Nie miała siły mówić więcej.

-Pielęgniarka - Cooper wskazał ciemnowłosą kobietę, z którą przed chwilą rozmawiał - mówi, że musi zbadać ciebie i dziecko. Dasz sobie z tym radę?

-Jasne.

Cooper wyprostował się nieco, zawahał na chwilę, tak jakby już był niezadowolony z tego, co zaraz powie.

-Słuchaj, Katie. Jest mi przykro, naprawdę przykro, ale muszę cię tu zostawić na jakiś czas. Po tej śnieżycy jest jeszcze wielu ludzi wymagających pomocy, a ja jestem w stanie im jej udzielić.

-W porządku - odparła Katie. - Dla mnie zrobiłeś już bardzo wiele. Dzięki tobie mam syna.

Uśmiechnął się do niej tak ciepło i sympatycznie, że serce Katie zabiło szybciej.

-Coś mi się zdaje, że napracowałeś się bardziej niż ja.

-Może tak. A może nie.

Wziął ją za rękę i zacisnął palce na dłoni.

- Wrócę wieczorem, żeby zobaczyć, jak się macie. - Katie

skinęła głową. - Przynieść ci coś? Może wykonać jakieś telefony?

Katie wiedziała, że Cooper ma na myśli jej męża. Wcześniej powiedziała mu, że podczas swoich podróży w interesach jest zawsze nieosiągalny. Niech więc wciąż tak sądzi.

-Dziękuję, ale sama potrafię zadbać o siebie.

-Jesteś pewna?

-Tak. Jestem pewna.

-A więc przywiozę ci tylko truskawkowy koktajl mleczny. Chcesz?

Teraz Katie szeroko się uśmiechnęła. Przez całą noc wykrzykiwała prośby o ten napój, żeby przestać myśleć o bólach rozdzierających ciało. Nadal miała ochotę na koktajl.

-To wspaniały pomysł - pochwaliła Coopera.

-Zostanie zrealizowany - obiecał. - Masz to u mnie jak w banku.

Przesunął dłonią po policzku Katie. Tak szybko, że nie była pewna, czy to się jej nie przywidziało.

Patrzyła, jak za Cooperem zamykają się drzwi, i zastanawiała się, dlaczego, gdy tylko zniknął z jej życia, tak bardzo odczuwa jego brak.

- To nie potrwa długo.

Katie ocknęła się, słysząc głos pielęgniarki. Z niechęcią podała jej niemowlę i patrzyła, jak kobieta owija synka we flanelowy kocyk i umieszcza w przezroczystym, plastikowym wózku dziecięcym. Po chwili znów dotarł do niej głos pielęgniarki:

- Zabierzemy pani synka na oddział niemowląt. Na krótko, żeby...

-Nie - z ust Katie padł kategoriyczny protest. Zaskoczyło to pielęgniarkę.

-Co takiego?

-Nigdzie go pani nie zabierze. Andrew zostanie tu ze mną.

-Ale...

-Pozostanie ze mną.

W głosie Katie brzmiała taka stanowczość, że pielęgniarka zdecydowała się ustąpić.

-W porządku. Jak pani chce. Sprowadzę lekarza i on tutaj zbada niemowlę.

-Dziękuję.

-Teraz zmierzę pani ciśnienie krwi.

Katie posłusznie wyciągnęła rękę. Czekwała spokojnie do końca badania. Przyszedł lekarz i zajął się niemowlęciem. Obejrzał je dokładnie i zmierzył, a potem oświadczył, że dziecko jest w dobrej formie i niczego mu nie trzeba. Po badaniu lekarskim *pielęgniarka wręczyła Katie plik różnobarwnych formularzy*. Większość z nich wymagała tylko jej podpisu. Jeden, którego zawczasu się obawiała, wymagał podania informacji niezbędnych do sporządzenia świadectwa urodzenia dziecka.

Katie machinalnie wpisała do formularza wszystkie dane dotyczące własnej osoby. Zatrzymała się dopiero przed wypełnieniem rubryki: ojciec dziecka. Może mniejsze szansę będzie miał William na odebranie jej dziecka, jeśli nie będzie figurował jako jego ojciec? Zastanawiała się, czy wpisanie „ojciec nieznany” byłoby właściwym posunięciem.

Z rozmyślań wyrwały ją nagle słowa pielęgniarki:

- Mąż pani to miły człowiek.

Katie podniosła głowę i zdumionym wzrokiem popatrzyła na stojącą przed nią kobietę.

-Co takiego?

-Mówiłam o tym mężczyźnie, który przyjechał tu z panią - z uśmiechem wyjaśniła pielęgniarka. - To znaczy o pani mężu. Miałam okazję pogadać z nim tylko chwilę, ale wygląda na

wspaniałego faceta. I troskliwego. Cały oddział postawił na nogi. Widać, że bardzo kocha panią i dziecko.

- Ale Cooper nie jest... To znaczy: nie jesteście małżeństwem. Pielęgniarka skinęła głową.

-Rozumiem. Może teraz, po urodzeniu się dziecka, spoważ nieje i pomyśli wreszcie o sformalizowaniu waszego związku. Jestem pewna, że tak zrobi. I to wkrótce.

-Ale...

Nagle Katie przyszła do głowy zupełnie nowa myśl. Nieświadomie poddała ją pielęgniarka, biorąc Coopera za ojca dziecka. A gdyby tak wpisać jego imię i nazwisko do formularza? Nie, to byłoby nieuczciwe. Katie nie mogłaby gorzej odwdzińczyć się temu mężczyźnie za ogromną przysługę wyświadczoną ostatniej nocy. Za okazaną dobroć. I cierpliwość. Bardzo prawdopodobne, że ocalił *życie im obojgu*. Nie, *nie mogła odplacać mu takim kłamstwem*. Byłoby to niemoralne.

Nie wolno jej było podawać Coopera jako ojca dziecka.

Palce Katie zacisnęły się mocniej na długopisie.

Dużymi, drukowanymi literami wpisała COOPER DUGAN.

W formularzu zamieszczono jeszcze trzy rubryki, które musiała wypełnić:

Numer ubezpieczenia ojca dziecka.

Wiek ojca dziecka.

Miejsce urodzenia ojca dziecka.

Katie nie miała pojęcia, co zrobić z tym fantem. Oceniała, że Cooper ma trzydzieści kilka lat. I sądząc po akcencie i sposobie wystawiania się, pochodził z jednego z trzech najbliższych stanów: Pensylwanii, New Jersey lub Delaware. Najgorszy problem był jednak z numerem jego ubezpieczenia. Skąd mogłaby go znać?

Widząc, że pielęgniarka coraz bardziej się niecierpliwi, czekając na zwrot wypełnionego formularza, Katie oznajmiła:

-Jego numeru ubezpieczenia nie pamiętam. Czy mogę użyć te dane, kiedy Cooper tu wróci?

-Jasne. Nie ma sprawy. Byle tylko zdołała pani zrobić to przed wypisaniem się ze szpitala.

-Obiecuję.

Pielęgniarka zbierała się do odejścia.

-Proszę dzwonić, jeśli będzie pani czegoś trzeba.

-Dobrze. Dziękuję.

Gdy tylko za wychodzącą zamknęły się drzwi, Katie zaczęła nerwowo myśleć, co robić dalej. Za wszelką cenę musiała wydostać się ze szpitala. Tak jednak, aby nie wywołać żadnych podejrzeń. To, że czuła się jeszcze bardzo osłabiona po porodzie i że nadal miała bóle, było w tej chwili bez znaczenia. Liczył się teraz wyłącznie fakt, że dopiero co zrobiła rzecz haniebną. Człowiekowi Bogu ducha winnemu, któremu wiele zawdzięczała, zrobiła świństwo. Podała jego dane jako legalnego ojca dziecka należącego do innego mężczyzny.

Nie miał także znaczenia fakt, że jeśli ucieknie zaraz ze szpitala, już nigdy więcej nie ujrzy Coopera Dugana. Przynajmniej w ten sposób da mu do zrozumienia, że niczego od niego nie chce. Ani dla siebie, ani dla dziecka.

W chwili obecnej liczył się tylko Andrew. Wszelkie inne sprawy były bez znaczenia. Musiała zadbać o synka i jego bezpieczeństwo. Nikomu go nie odda. I nigdy nie porzuci.

Miała nadzieję, że kiedyś Cooper zrozumie motywy jej postępowania. Pewnego dnia ona sama będzie w stanie mu je wyjaśnić. Na razie jednak, zanim nastanie zmierzch, musi uciec ze szpitala. Nie ma wyboru. Musi zniknąć. Tylko wtedy będzie mogła być pewna, że William jej nie znajdzie i nie odbierze syna.

Zniknięcie wraz z dzieckiem było jedynym rozwiązaniem, aczkolwiek trudnym i ryzykownym. Katie potrzebowała teraz

trochę czasu na przemyślenie, co powinna zrobić. W końcu przecież wszystko musi się dobrze ułożyć. Była tego pewna.

- Panie Dugan! Panie Dugan!

Cooper usłyszał wołanie. Odwrócił się szybko w stronę, z której dochodził głos. Balony trzymane w jednym ręku wzbily się w górę, tworząc wielobarwną chmurę. Upuścił na ziemię ogromnego, pluszowego niedźwiadka. Ledwie udało mu się utrzymać bukiet czerwonych róż, które niósł pod pachą, i koktajl mleczny.

Zareagował tak gwałtownie nie dlatego, że usłyszał wołanie - nikt nigdy nie nazywał go panem Duganem - lecz dlatego, że w nim samym odezwało się nagle przerażone dziecko. Dziecko, które nagle wyobraziło sobie, że z grobu wstał jego ojciec. Szedł teraz z groźną miną w stronę syna szpitalnym korytarzem, uzbrojony w szeroki pas z błyszczącą, złotą sprzączką.

Niemal równocześnie Cooper uprzytomnił sobie, że ojca nie ma nigdzie w pobliżu. Od śmierci Mikę'a Dugana upłynęło prawie piętnaście lat, więcej niż od chwili ucieczki Coopera z rodzinnego domu po bójce z ojcem, kiedy to pięścią złamał mu nos. Teraz Coopera wołała pielęgniarka, ta sama, którą widział wcześniej w pokoju Katie. Westchnął. Otrząsnął się z przerażających wspomnień.

- Słucham? - spytał, gdy go dogoniła. Mówił spokojnie. Mógł pogratulować sobie opanowania.

- Panie Dugan, potrzebny mi pański numer ubezpieczenia. Jeszcze pod wrażeniem przykrego wspomnienia ojca, Cooper odruchowo wyrecytował z pamięci wszystkie cyfry. Nie zwrócił uwagi na bezsensowność pytania pielęgniarki.

- Data urodzenia?

Także odpowiedział machinalnie.

- Miejsce urodzenia?

- Gloucester City w New Jersey.

I nagle Cooper uprzytomnił sobie, że zupełnie obcej kobiecie udziela odpowiedzi na bardzo osobiste pytania. Ze zdumieniem patrzył, jak pielęgniarka skrupulatnie zapisuje wszystko, co powiedział.

- O co chodzi? - spytał, podniósłszy z podłogi pluszowego niedźwiadka. Wyprostował się powoli. - Po co pani te wszystkie informacje?

Nie unosząc głowy i pisząc dalej, pielęgniarka odparła:

- Są potrzebne do sporządzenia aktu urodzenia pańskiego syna.

- Do czego? - warknął.
Kobieta podniosła wzrok.

- Do aktu urodzenia pańskiego syna - powtórzyła spokojnie.

- Pańska.. hmm... przyjaciółka opuściła szpital, nie wypełniwszy do końca formularza.

Cooper potrząsnął głową. Wydawało mu się, że to jakiś dziwny sen.

- Mój syn...? Moja przyjaciółka...? - powtórzył bezwiednie. Dopiero wtedy dotarł do niego sens dalszych słów pielęgniarki. - Nie ma jej? Nie ma Katie? Dokąd pojechała? Do diabła, co tu się właściwie dzieje? Przecież dopiero co urodziła! Nie mogła tak od razu opuścić szpitala!

Pielęgniarka popatrzyła na niego tak, jakby w ogóle nie istniał. Przsunęła plik kartek do piersi i skrzyżowała ręce. Dopiero teraz jej surowy wzrok oznajmił Cooperowi, że zaraz usłyszysz coś bardzo nieprzyjemnego.

- Pani Brennan dziś rano wypisała się ze szpitala. Gdyby zjawił się pan o umówionej porze, dobrze by pan o tym wiedział. Tego ranka Cooper zamierzał przyjechać wcześniej. Nie dlatego, że podejrzewał, iż Katie opuści szpital, lecz po to, żeby

sprawdzić, jak czują się matka i syn, a także przekonać się, czy nie mają jakichś kłopotów.

Początkowo zamierzał wrócić jeszcze wieczorem, ale wykonywanie zleceń zajęło mu czas aż do północy. Nie była to odpowiednia pora na odwiedziny w szpitalu. Tak więc odłożył je do rana. No, i musiał trochę się przespać. Widocznie jednak spał zbyt krótko i nadal był niezbyt przytomny.

- Zacznijmy od nowa - powiedział do pielęgniarki. Otworzyła usta, żeby zaprotestować, lecz Cooper uniósł dłoń i powstrzymał ją.

- Wczoraj - zaczął - mniej więcej w porze lunchu do tego szpitala karetka przywiozła kobietę, która dopiero co urodziła dziecko. Czy tak właśnie było?

Pielęgniarka skinęła głową.

- Tak. Pan...

Znów podniósł rękę i jego rozmówczyni szybko zamilkła.

- Ta kobieta nazywała się... - zawiesił głos, dając do zrozumienia pielęgniarce, że czeka na jej odpowiedź.

Odsunęła plik kartek od piersi. Rzuciła okiem na jedną z nich.

- Katie Brennan - oznajmiła. Cooper odetchnął z ulgą.

-W porządku. Zgadza się. Katie Brennan. A jak ma na imię jej syn?

-Andrew Cooper Brennan Dugan - odczytała.

Kiwał głową, słysząc wymienione imiona. Potem spojrzał na pielęgniarkę.

- Powinno być Andrew Cooper Brennan. I na tym koniec. Kropka - oświadczył. - Nie nazywa się Dugan.

Kobieta jeszcze raz zajrzała do pliku kartek, które trzymała w ręku.

- Nie ma pan racji. Zapisalam tak, jak miało być. I tak jest

w akcie urodzenia dziecka. Andrew Cooper Brennan Dugan. Ten fragment formularza pani Brennan wypełniła własnoręcznie.

- Niech to zobaczę.

Cooper niemal wyrwał plik kartek z ręki stojącej przed nim kobiety.

- Co pan robi? - zaprotestowała.

Pielęgniarka miała rację. Swym delikatnym piśmem Katie wpisała go jako ojca dziecka. Miał to czarno na białym. Figurował na świadectwie urodzenia chłopca. W świetle prawa obowiązującego w stanie Pensylwania Katie Brennan uczyniła go oficjalnie ojcem swego syna.

-To nie ma sensu - mruknął pod nosem. - Czemu miałyby zrobić coś takiego?

-Wcześniej wypisać się ze szpitala? - spytała pielęgniarka, opacznie zrozumiawszy pytanie Coopera. - To jasne. Nie miała ubezpieczenia. Zpańskiej polisy pokryje się, oczywiście koszty pobytu dziecka w szpitalu, bo pan za nie odpowiada. Ale jako że nie pofatygował się pan, żeby ożenić się z matką swego syna - pielęgniarka dobitnie wyraziła swą dezaprobatę dla moralnie karygodnego postępowania Coopera - rachunek za jej pobyt w szpitalu będziecie musieli sami uregulować. Dlatego pani Brennan tak szybko wypisała się ze szpitala, żeby sobie i panu oszczędzić wydatków.

-Chodziło mi o...

-Naturalnie, nie chciała zostawić samego dziecka, więc za brała je z sobą - niewzruszenie ciągnęła pielęgniarka, nie dając Cooperowi dojść do słowa. - Nie przyszedł pan dziś rano, więc pojechała do domu taksówką. Szczerze mówiąc, panie Dugan - dodała - sądziłam, że jest pan człowiekiem bardziej odpowie działnym. ..

- Ja... - szybko urwał. Miał zamęt w głowie. Jak urzeczony nadal patrzył na kartę szpitalną, którą trzymał w ręku.

-Kiedy dziś rano weszłam do pokoju, pańska przyjaciółka była już przygotowana do wyjścia - mówiła dalej pielęgniarka. - Lekarz był zdania, że powinna dłużej pozostać w szpitalu. Ale że nie wystąpiły żadne komplikacje poporodowe i dziecko było zdrowe, więc nie protestował, żeby się wypisała i poszła do domu.

-A ja... a ja się nie liczę? - wreszcie odezwał się Cooper. - Mogłem mieć na ten temat inne zdanie.

Pielęgniarka wyrwała mu kartę z ręki.

-To trzeba było przyjechać rano, kiedy pańska przyjaciółka była gotowa do opuszczenia szpitala.

-Ale...

-Proszę wybaczyć, na mnie już czas.

-Ale...

-Panie Dugan, proszę posłuchać dobrej rady. Niech pan jedzie do syna. To nie jest wprawdzie moja sprawa, lecz niech pan zastanowi się nad wzięciem ślubu z tą kobietą. Powinien pan postąpić uczciwie i założyć normalną rodzinę.

Pielęgniarka zostawiła Coopera i odeszła.

Mimo że Katie ani jej synowi nie zrobił niczego złego, nagle poczuł się winny. Czemu? Nie miał pojęcia. Z jakiegoś nie wiadomego powodu poczuł nagle, że być może naprawdę powinien ożenić się z Katie, żeby dziecko miało prawowitego ojca. W trójkę, jak orzekła pielęgniarka, stanowiliby normalną rodzinę. Mimo że w gruncie rzeczy prawie nie znał Katie, a Andrew nie był jego synem.

Cały szkopał polegał jednak na tym, że Cooper nie miał pojęcia, gdzie szukać pozostałych członków tej swojej ewentualnej przyszłej rodziny.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Zazwyczaj zakupy w supermarkecie denerwowały Coopera. Stał w kolejce do kasy i przestępował z nogi na nogę. Mimo woli jego wzrok zatrzymał się na rozłożonej w pobliżu codziennej prasie. Zawsze zdumiewały go wielkie tytuły artykułów ze szmatławych gazet. O żywych Elvisach Presleyach, dzieciach--mutantach i ludożernych diffenbachach. Zwykle miał nieprze-partą ochotę uciec gdzie pieprz rośnie przed tłumem siwych starszych pań, przed wniebogłosy wrzeszczącymi niemowlakami i ponurymi facetami, takimi jak on sam, którzy, dokonawszy zakupów w dziale mrożonych potraw, ustawiali się w kolejce do kasy i spokojnie czekali na wyjście z supermarketu.

Od pewnego czasu Cooper zaczął odmiennie niż poprzednio reagować na otaczających go ludzi. Na przykład dziś czekanie w kolejce wcale go nie denerwowało. Nie dlatego, że stał za atrakcyjną młodą kobietą o bujnych blond włosach i szczupłych, opalonych nogach. I owszem, zauważył jej wdzięki, lecz nie zrobiły na nim większego wrażenia. Wzrok Coopera przyciągał niemowlak należący do tej kobiety.

Nie potrafił oszacować wieku dziecka umieszczonego w nosidełku i wsadzonego do wózka z zakupami. Nie potrafił także rozpoznać jego płci. Równie dobrze mógł to być dwutygodniowy chłopczyk, jak i siedmiomiesięczna dziewczynka. O dzieciach nie wiedział właściwie nic. Tylko raz miał do czynienia z niemowlakiem. Pamiętnej nocy, gdy odbierał poród...

Katie i Andrew Brennanowie nadal nawiedzali go w snach, mimo że od chwili, w której widział ich po raz ostatni, upłynęły już prawie dwa miesiące. Wrócił wówczas do mieszkania Katie znajdującego się w Chestnut Hill. Nie był zresztą pewny, czy dobrze trafił. Zastał tam starsze małżeństwo, które zamieszkiwało ten dom od roku 1958 i nigdy nie słyszało o żadnych Brenna-nach w okolicy.

W książce telefonicznej Filadelfii Cooper nie znalazł Brennanów mieszkających w tej dzielnicy. Dowiedział się, że w szpitalu Katie podała, iż mieszka w Las Vegas, dołączając fałszywy adres. Nadal był przejęty tym, że na świadectwie urodzenia syna Katie figuruje jako jego ojciec. Nie miał żadnych szans jej odnalezienia i zadania pytania, które rozwiałoby jego wątpliwości.

O tym wszystkim Cooper nie chciał już więcej myśleć. Teraz skupił całą uwagę na niemowlaku siedzącym w wózku z zakupami. Przez dłuższy czas dzieciak przyglądał mu się ogromnymi, nieruchomymi oczyma. Potem nagle uśmiechnął się szeroko, ukazując bezzębne, różowe dziąsła, zmarszczył nosek, wytknął języczek i zaczął chichotać. Przy tej czynności okropnie się oślinił.

Rozbawił stojącego obok Coopera. Długonoga blondynka odwróciła się w stronę niemowlaka i też zaczęła się śmiać.

- Spodobał mu się pan - oznajmiła. - Zwykle tak się nie uśmiecha do obcych.

Cooper popatrzył na młodą matkę, a potem przeniósł wzrok na dziecko.

-To chłopczyk, mam rację?

-Tak.

-Ile on ma miesięcy?

-W przyszłym tygodniu skończy pięć.

-Ładny dzieciak.

jacy, atrakcyjny i szczęśliwy. I, co więcej, potrafi zachować poczucie humoru. Przedtem był przekonany, że gdy człowiek staje się rodzicem, cechy te znikają bezpowrotnie. Trzeba bez przerwy troszczyć się o dzieci, kupić dom na przedmieściu i duży samochód. Mężczyzna łysieje, przybywa mu na wadze i zaczyna mówić: „Przycisz tę okropną muzykę” lub „Kiedy byłem w twoim wieku...” bądź też: „Zjedz wreszcie te brokuły. W innych krajach dzieci głodują, a ty...”

I oto spotkał atrakcyjną kobietę, z którą - gdyby nie to, że była mężatką - bez chwili wahania umówiłby się na randkę. Wcale nie wyglądała na matkę. Była interesująca. Seksowna. Miała wspaniałą figurę. Kto by pomyślał, że tak może być?

Rozważania te męczyły Coopera wieczorem, kiedy usłyszał pukanie do frontowych drzwi. Stała w nich Katie Brennan.

Przez chwilę tylko się w nią wpatrywał, niemal przekonany, że ma przed sobą zjawę. Szybko jednak uznał, że stoi przed nim żywa postać. Bo gdyby Katie była duchem, wyglądałaby zapewne identycznie jak wtedy, kiedy widział ją po raz ostatni.

Dziś wyglądała zupełnie inaczej niż dwa miesiące temu.

Była znacznie szczuplejsza. Właściwie chuda. Miała dłuższe włosy, lecz pozbawione połysku. Jej twarz była jeszcze bledsza niż podczas porodu. Podkrążone oczy wydawały się jeszcze większe i bardziej szare niż poprzednio.

Wyglądała na skrajnie wyczerpaną. Osłabioną i znerwicowaną. Cooper nie dowierzał swym oczom, że widzi znowu tę kobietę. Tym razem u swoich drzwi.

Długo trwające milczenie przerwało cichutkie gaworzenie dziecka. Dopiero teraz Cooper zatrzymał wzrok na niemowlęciu, które Katie ścisnęła w ramionach. W przeciwieństwie do wynędzniałej matki, Andrew wyglądał kwitnąco. Jak pączek w maśle.

Był tusty, różowy i pełen energii. Tak jakby wszelkie swoje siły witalne czerpał z Katie. Niebieskoszarymi oczyma popatrzył uważnie na Coopera, lecz zaraz potem całą uwagę skupił na matce. O niemowlętach Cooper nie wiedział nic. Teraz jednak na widok miny dziecka mógłby przysiąc, że martwi się ono o matkę.

- Czy mi pomożesz?

Niemal identycznie brzmiały pierwsze słowa wypowiedziane przez Katie do Coopera w pamiętny zimowy wieczór. Minęło sporo czasu. Nastąpiła wiosna, a pani Brennan z taką samą mocą powtórzyła swą ówczesną prośbę. Prosiła o pomoc dla siebie i synka.

- Katie... - zaczął Cooper.

Urwał. Nie wiedział, co powiedzieć. Co mówi mężczyzna do kobiety z którą spędził noc, pomagając jej urodzić dziecko? Jak powinien traktować kobietę, która, nie znając go wcale, zarejestrowała go w szpitalu jako ojca dziecka? Kobiecie, która nagle znikła bez śladu i od tamtej pory co noc nawiedza go w snach? Która do góry nogami przewróciła jego dotychczasowe życie i sprawiła, że zupełnie inaczej zaczął patrzeć na wiele spraw?

Co ma powiedzieć mężczyzna w sytuacji takiej jak ta?

- Cooper, proszę - znów odezwała się Katie. - Musisz mi pomóc. Musisz. Andy i ja... - Westchnęła i położyła na ziemi sfatygowaną torbę podróżną. Nie czekając na zaproszenie, weszła do mieszkania Coopera. - Mamy kłopoty. Wielkie kłopoty. Tylko ty możesz nam pomóc.

Nadal oszołomiony, Cooper zamknął za Katie drzwi do mieszkania i spojrzął na nią ponownie.

- Cześć. Długo się nie widzieliśmy. Jak się masz, Katie. Co u ciebie słychać?

Wlepiła w niego wzrok. Na moment zaniemówiła.

- Ja... Cooper... Andy i ja... My...

Zawiódł ją głos. Wypuściła torbę z ręki i mocniej przytuliła do siebie dziecko.

Cooper podszedł bliżej. Zatrzymał się tuż przed Katie.

- Och, gdzie się podziały moje dobre maniery? Czym mogę cię uraczyć? Kawą? Wodą sodową? A może pieniążkami na potrzeby dziecka?

Westchnęła ciężko.

-Masz na myśli akt urodzenia małego? Posłuchaj, zaraz wszystko ci wytłumaczę.

-Mam nadzieję - mruknął Cooper. Jego głos brzmiał po nuro. - Nie co dzień facet staje się ojcem. Zwłaszcza po jednej nocy spędzonej z kobietą, która akurat rodzi, a nie zachodzi w ciążę.

-Cooper, ty nie rozumiesz...

-To fakt. Nie rozumiem. Powiedziałaś, że wszystko mi wytłumaczysz, więc mów. - Widząc, że Katie nie zamierza niczego mu wyjaśnić, dodał ostrzejszym tonem: - Byle szybko. Zamie niam się w słuch.

Nadal patrzyła na niego w milczeniu. Wreszcie spytała:

- Pozwolisz, że usiądę? Jestem bardzo zmęczona. Szerokim gestem wskazał kanapę.

- Oczywiście. Siadaj. Czuj się jak w swoim domu. Bądź co bądź, jesteś przecież matką mego dziecka - dodał z ironią w głosie.

Katie pochyliła się nad podróżną torbę i wyjęła z niej kolorową kołderkę. Rozpostarła ją na dywanie, a potem umieściła na niej dziecko, kładąc je na brzuszku. Na kołderce rozłożyła kilka dziecięcych zabawek. Sama usiadła obok, po turecku. Zaczęła lekko głaskać synka po pleckach. Nadal milczała.

Cooper opadł na krzesło. Nie mógł oderwać wzroku od matki

i dziecka. Nadal nie miał pojęcia, co sądzić o niespodziewanej wizycie.

Katie nachyliła się nad Andym. Opadające, długie włosy sprawiały, że Cooper nie mógł dostrzec wyrazu jej twarzy. Kiedy wreszcie podniosła rękę, by odgarnąć kosmyki, zobaczył, że płacze.

Poczuł się dziwnie. Niewyraźnie.

- Katie - odezwał się po chwili łagodnym tonem - co ty tutaj robisz?

Podniosła głowę. Na jej twarzy malowało się zaskoczenie. Miała taką minę, jakby w ogóle zapomniała, gdzie się znajduje. Otarła dłonią mokre od łez policzki. Wyprostowała się.

-Od tygodnia usiłowałam dotrzeć do ciebie - odparła lekko szorstkim głosem. - Sama już sobie dłużej nie poradzę.

-Z czym?

Katie popatrzyła na dziecko.

- Musiałam znaleźć kogoś, komu mogłabym zaufać. Od razu pomyślałam o tobie. Uznałam, że mnie nie zawiedziesz i pomożesz nam obojgu.

Spojrzenie Coopera zatrzymało się na lewej dłoni Katie, rozpostartej na ziemi. Nadal na jej palcu tkwił pierścionek w kształcie obrączki. Brylanty odbijały promienie popołudniowego słońca, wdzierającego się przez okno do wnętrza pokoju.

- Co z twoim mężem? - zapytał Cooper. - Chyba do niego powinnaś zwrócić się, skoro masz kłopot. Nie może ci pomóc?

Katie spuściła głowę. Przedtem jeszcze Cooper zdołał dostrzec w jej oczach jakieś ostre i nieprzyjemne błyski. A może tak mu się tylko zdawało? Nie był pewien.

- Nie. Nie może - odparła krótko. Nie zamierzała niczego wyjaśniać.

Cooper odetchnął głęboko. Wypuścił z płuc powietrze.

- Dlaczego? Gdzie on jest?

Katie nie miała najmniejszego zamiaru przyznać się teraz, że zawierzywszy Williamowi, okazała się idiotką. Ponadto, mimo że przyszła prosić o pomoc, tak naprawdę do końca nie miała pełnego zaufania do Coopera. Dwa miesiące bezustannego ukrywania się i ciągłej ucieczki nauczyły ją bezwzględnej ostrożności.

Sądziła, że William opłacał także Coopera. Przecież ni stąd, ni zowąd ten obcy człowiek pojawił się w jej domu, kiedy akurat zaczęła rodzić. Uznała, że nie mógł to być czysty przypadek. Ona sama nie dzwoniła do nikogo po pomoc. To William z pewnością nasłał Coopera. A ten z kolei, gdy tylko zawiózł ją do szpitala, zawiadomił swego zleceniodawcę o tym, co się stało, i że matka z dzieckiem są teraz na oddziale położniczym Szpitala Świętej Teresy. I gdy tylko ustanie zamieć, William będzie mógł bez przeszkód zabrać stamtąd syna.

Katie nie miała nikogo, komu mogłaby zaufać. Nie miała dokąd pójść. Instynktownie zawierzyła Cooperowi, ale nadal nękały ją wątpliwości co do całkowitej uczciwości tego człowieka.

To jasne, że nie mogła powiedzieć mu prawdy, dać odpowiedzi, na którą czekał, dotyczącej miejsca pobytu jej „męża”. Zdecydowała się na kłamstwo.

-Tahiti - odparła szybko. - Jest na Tahiti. Wyjechał tam w interesach. Na długo. Wróci najwcześniej w końcu miesiąca. Ty jesteś więc jedynym człowiekiem, którego mogę prosić o pomoc.

-Jasne - mruknął Cooper. - Jest na Tahiti. Oczywiście. I ma dom w Chestnut Hill. A dlaczego w książce telefonicznej Fila delfii nie figurują pod tym adresem żadni Brennanowie?

- Nasz telefon jest zastrzeżony.

To przynajmniej było prawdą, uzmysłowiła sobie Katie. Od samego początku ich znajomości William miał kompletnego fioła na punkcie całkowitej prywatności. Nigdy jednak jej to specjalnie nie dziwiło. Sądziła, że zależy mu na maksymalnej dyskrecji dlatego, że był bogaty i zajmował wysokie stanowisko w renomowanej korporacji zajmującej się produkcją środków chemicznych. A także dlatego, że chciał ją chronić. Nie miała pojęcia, że wszelkie starania Williama, mające na celu odseparowanie ich od innych ludzi, były spowodowane zupełnie czym innym. Miała bowiem do czynienia z perfidnym i przebiegłym bigamistą, prowadzącym podwójne życie. Musiał się więc bardzo starać, żeby zachować swoje małżeństwo w tajemnicy.

Cooper skinął głową.

- Rozumiem.

Katie wiedziała, że ani przez chwilę jej nie wierzył, ale akurat teraz było to najmniejsze ze zmartwień.

-Posłuchaj mnie, Cooper - podjęła przerwany wątek - po możesz mi czy nie?

-Lepiej opowiedz mi wszystko od początku - zaproponował.

Skinęła głową.

- Chyba powinnam. - Podniosła wzrok i popatrzyła mu prosto w oczy. - Ale tak nie zrobię. Zacznę od samego końca. Od chwili w której zjawiłeś się w moim domu.

Dla Coopera był to akurat początek, ale nie zamierzał przypominać o tym Katie. Ważne, by ujawniła mu wreszcie całą prawdę i odpowiedziała na pytania, które nękały go od miesięcy.

- Właśnie pakowałam swoje rzeczy, żeby opuścić męża, kiedy odeszły mi wody - zaczęła. Na widok otwierających się ust

Coopera, podniosła rękę, gestem powstrzymując go od zadania dodatkowego pytania. - Dlaczego, nie jest teraz ważne - dorzuciła szybko - nawet dla mnie ta sprawa jest zbyt skomplikowana, bym mogła ci to wytłumaczyć. A więc... naprawdę musiałam opuścić dom. Niestety, Andy postanowił wcześniej przyjść na świat i to pokrzyżowało moje plany.

Spojrzenie Coopera pobiegło w dół i zatrzymało się na niemowlęciu leżącym na kolorowej kołderce. Andy spał. Małą, zaciśniętą piąstkę ułożył tuż przy główce i otworzył buzię. Miał ciemne i gęste rzęsy. Ich cień kładł się mu na policzki. Spod ciemnych kędziorków, gęstych przed dwoma miesiącami, przebierała teraz łysina. Malec wydawał się Cooperowi dwukrotnie większy niż wówczas, gdy widział go po raz ostatni. Spał smacznie snem niewinnego aniołka. Cooper pomyślał, że chętnie sam sypiałby tak spokojnie.

- I wtedy pojawiłeś się ty - ciągnęła Katie. Znow patrzyła mu prosto w oczy. - Nie wiadomo skąd. Jawiłeś mi się w postaci wysokiego, postawnego, jasnowłosego rycerza w lśniącym zbroi, który pokonał śnieżycę i przybył z pomocą. Cooper, nie wiem, czy była to obawa przed nadchodzącą chwilą porodu, czy też zbyt aktywne hormony sprawiły, że miałam halucynacje, ale... - Katie roześmiała się głośno. Po raz pierwszy radośnie, odkąd przekroczyła próg jego domu. Mimo woli Cooper także się uśmiechnął. - Ale tamtego wieczoru byłeś moim zabawką. Sam potem stwierdziłeś, iż tak chciało przeznaczenie. Sprawileś, że przy tobie od razu poczułam się bezpiecznie. Wiedziałam, że dopóki będziesz przy mnie, dopóty nie stanie mi się nic złego.

Cooper milczał. Katie spuściła głowę.

- Wypełniając formularz niezbędny do sporządzenia aktu

urodzenia Andy'ego, byłam niezbyt przytomna. Sądzę jednak, że dlatego właśnie napisałam, że jesteś ojcem mojego syna. Prawdziwy ojciec... mój mąż... - Westchnęła głęboko, przesunęła palcami po włosach i położyła ręce na kolanach. O prawdziwym ojcu Andy'ego nie powiedziała już nic więcej. - Twoje imię i nazwisko wypisane na tym arkuszu papieru było jak... jak talizman. Gwarantowało, że bez względu na to, co się stanie, Andy będzie bezpieczny. Przepraszam. Wiem, że nie powinnam była tego zrobić. Z mojej strony to niewybaczalne posunięcie i na pewno sprzeczne z prawem. Nie miałabym do ciebie żalu, gdybyś teraz zaprowadził mnie na policję. - Znów spojrzała na Coopera. - Sądzę jednak, że tego nie zrobisz. Kiwnął głową. Katie miała rację.

-Nie zrobię tego - odparł. - To chyba niepotrzebne. Na dal jednak nic nie rozumiem z całej tej historii. Dlaczego ja ko ojca dziecka podałaś mnie, a nie swojego prawowitego małżonka? Kręcisz, Katie. Całe twoje opowiadanie nie trzyma się kupy.

-Wiem. I teraz, gdy usiłuję wszystko wytłumaczyć, widzę, że to mi nie wychodzi. Słuchaj, Cooper, w szpitalu po prostu... wpadłam w panikę. Stosunki między Williamem a mną nie są dobre, więc... - Znów westchnęła głęboko i przesunęła dłonią po włosach. - Byłam wystraszona, wyczerpana i półprzytomna. Wiem, że zabrzmiało to niewiarygodnie, ale dlatego jako ojca Andy'ego podałam cię, że bardzo mi na tobie zależy. A ponadto mam wrażenie, iż tobie zależy na nas.

-Masz rację. To brzmi niewiarygodnie.

Najbardziej jednak niewiarygodne było to, uzmysłowił sobie Cooper, że znacznie większe wrażenie wywarło na nim wyznanie Katie, iż jej na nim zależy, niż fakt uczynienia go legalnym ojcem dziecka, które zostało poczęte przez innego mężczyznę.

Katie była mężatką, przypomniał sobie. Jeśli nawet wtedy, kiedy ją poznał, zamierzała opuścić swego męża, to i tak nadal nosiła ślubną obrączkę. Jej stosunki z Williamem, układające się źle, w każdej chwili mogły ulec zmianie.

Coopera nie było stać na przejmowanie się tym, że Katie na nim zależy. Miała teraz zapewne masę problemów i wciągała go w swoje sprawy. Powinien mieć jej to za złe. Każdy mężczyzna w tej sytuacji dostałby zapewne ataku szału. Powinien skontaktować się z adwokatem, oskarżyć Katie o to, co zrobiła, no i oczywiście zmusić ją, aby jak najszybciej formalnie sprostowała dane o ojcostwie w akcie urodzenia synka.

Zamiast tego miał ochotę zbliżyć się do tej kobiety. Zarówno uczuciowo, jak i fizycznie. Chciał wziąć ją w ramiona i przygarnąć do siebie, pogłaskać po głowie i zapewnić, że wszystko ułoży się dobrze. Zapragnął takie oznajmić Katie, że może pozostać u niego tak długo, jak tylko zechce. Dopóki będzie jej to potrzebne, żeby zdołała uporządkować swoje życie. Wiedział jednak, że w żadnym razie nie powinien mówić jej o tym.

- Możesz zostać u mnie tak długo, jak tylko zechcesz - ze zdumieniem naraz usłyszał swój własny głos. - Tak długo, jak będzie to potrzebne, żebyś zdołała uporządkować swoje życie.
- Westchnął i dodał: - Bez względu na to, kiedy twój mąż wróci do domu z... Tahiti.

- Naprawdę?

Skinął głową.

-Ale pod jednym warunkiem. Musisz powiedzieć, Katie, o co w tym wszystkim chodzi. Pomogę ci na tyle, na ile będę umiał. Ale nie mogę tego zrobić, jeśli nie będę miał pojęcia o tym, w jakie kłopoty się wpakowałaś.

-Andy i ja potrzebujemy domu. Na jakiś czas - wymijająco

odparła Katie. - Aż się pozbieram i będę wiedziała, co robić dalej. Niedługo zejdziesz ci z oczu. Przrzekam.

-Katie...

-Pozwolisz mi położyć się na chwilę? Trochę się prześpię. Potem powiem więcej.

Cooper skinął głową. Był rozczarowany. Chciał poznać kłopoty Katie, i to jak najszybciej. Z drugiej jednak strony widział, jak bardzo jest zmęczona. Wyglądała okropnie. Upłynie sporo czasu, zanim zacznie przypominać normalną kobietę. Taką, jaką była wówczas, kiedy Cooper ją poznał.

Katie bez słowa położyła się na podłodze obok śpiącego synka. Podłożyła rękę pod głowę, drugą obejmując Andy'ego.

Cooper otworzył usta. Chciał zaproponować, aby zajęła kanapę, ale się rozmyślił. Widocznie Katie zależało na fizycznym kontakcie z dzieckiem. Był święcie przekonany, że przez ostatnie dwa miesiące sypiała w kiepskich warunkach. Najczęściej właśnie w taki sposób, na podłodze.

Zasnęła natychmiast. Oddech miała miarowy i lekki.

Cooper potrząsnął głową. Zdumiewała go własna bezdena głupota. Poszedł do sypialni i zmienił pościel na jedynym łóżku, jakie znajdowało się w mieszkaniu. Przygotowywał spanie dla Katie. Powinien ułatwić życie tej kobiecie, skoro już znalazła się u niego. A także Andy'emu, dodał w myśli. O dzieciach wiedział mało. Szczycił się jednak pewną znajomością usposobienia kobiet. A te istoty z reguły lubiły porządek. Prawdę powiedziawszy, jak na jego gust, były stanowczo zbyt pedantyczne. Porządnicze, pomyślał z dezaprobatą. Fakt ten sprawiał, że Cooper za wszelką cenę unikał bliższych związków z osobami płci przeciwnej.

Jego myśli krążyły teraz wokół Katie Brennan i jej syna. W stosunkach łączących go z tą kobietą nie było niczego, co było

przypominało jakikolwiek porządek. Ale istniał związek między nimi. I to bardzo silny.

- Stary, jesteś durniem - mruknął do siebie Cooper, wieszając w łazience czyste ręczniki. - Prawdziwym kretyńcem. Patentowanym osłem.

Nawymyślał sobie, ile wlezie, ale to mu w niczym nie pomogło.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Po raz pierwszy od miesiący Katie obudziła się spokojna. Bez strachu, mimo że w pierwszej chwili zupełnie nie wiedziała, gdzie się znajduje. Obok leżał Andy. Nie spał. Z główką zwróconą w stronę matki, uśmiechał się słodko.

Oboje leżeli na podłodze w jakimś saloniku, w otoczeniu nielicznych mebli. Już na pierwszy rzut oka można było zgadnąć, że mieszkanie to należy do mężczyzny. Jest własnością człowieka, który nie dba o własny komfort.

Jest w domu Coopera.

Katie przypomniała sobie jego twarz i nagle ogarnęło ją uczucie odprężenia. Ona i Andy byli w dobrych rękach. Bezpieczni. Pod opieką Coopera nic im się nie stanie.

Przez całe dwa miesiące Katie szukała miejsca, w którym wraz z synkiem mogłaby się ukryć. Po opuszczeniu szpitala wróciła do domu w Chestnut Hill tylko po to, żeby zabrać stamtąd parę niezbędnych rzeczy. Potem wraz z dzieckiem pojechała na dalekie przedmieście i w oddziale banku, w którym nigdy dotąd nie bywała i gdzie nikt jej nie znał, podjęła wszystkie pieniądze. Prawie pięć tysięcy dolarów.

Opróżniając konto, które założył dla niej William, nie miała żadnych wyrzutów sumienia. Gdyby pieniędzy było więcej, podjęłaby je co do grosza. Czekają ją teraz spore wydatki. Musiała zadbać o dziecko i dopilnować, żeby na niczym mu nie zbywało.

Dla Andy'ego zrobiłaby wszystko. Ujawnił się w niej instynkt macierzyński. Silniejszy niż się spodziewała.

Z banku pojechała wprost na dworzec autobusowy. Za gotówkę kupiła bilet do Las Vegas. Wsiadła z synkiem do autobusu. Gdy znajdował się w Kolorado, Katie uprzytomniła sobie, że w Las Vegas nadal będzie zagrożona. William od razu się zorientuje, gdzie jej szukać. Natychmiast nawiąże kontakt z jej przyjaciółmi, którzy tam mieszkali.

Tak więc wysiedli w Durango i wsiadli do innego autobusu, jadącego do Kentucky, aby dotrzeć do rodzinnego miasta Katie. Gdy przejeżdżali przez stan Illinois, uznała, że powrót do Kentucky też jest niebezpieczny. Znała tam już niewielu ludzi i nie miała nikogo, komu mogłaby zaufać. Środowisko, w którym się wychowała, było ubogie. Pieniądze Williama mogły skusić ludzi do mówienia.

Tak więc Katie i Andy ponownie zmienili kierunek podróży. Zawrócili. Wsiadli do autobusu jadącego do Filadelfii. W dużym mieście łatwo zniknąć w tłumie, myślała Katie. I może Williamowi w ogóle nie przyjdzie na myśl, żeby szukać jej tak blisko.

Pieniądze, które podjęła w banku, topniały błyskawicznie. Miała już tylko tysiąc dolarów. Zwinęła banknoty i wetknęła je na dno torby podróżnej. Trzymała tam również trochę biżuterii otrzymanej od Williama. Wraz ze ślubną obrączką wysadzaną brylantami mogła sprzedawać je stopniowo, gdy skończy się gotówka.

W autobusie wiozącym ich do Filadelfii zdała sobie sprawę z jeszcze jednej rzeczy. Że znacznie bardziej niż pieniądze jest im niezbędne czyjeś wsparcie. Potrzebowali pomocy. Ze strony kogoś zaufanego.

Katie natychmiast przyszedł na myśl Cooper Dugan. Był

chyba jedynym człowiekiem na ziemi, któremu mogła naprawdę zaufać.

W Filadelfii, mieście ogromnym, aż pięć dni zajęło Katie odnalezienie adresu Coopera. Okazało się, że mieszka w Pennsauken w stanie New Jersey. Potem przez trzy dni szukała owego Pennsauken. Gdy tylko je odnalazła, natychmiast tam pojechała.

Teraz, kiedy znalazła się wreszcie pod opiekuńczymi skrzydłami Coopera, mogła się zrelaksować. Uczyniła to po raz pierwszy od chwili, gdy żona Williama, jego prawowita małżonka, zapukała do jej frontowych drzwi. Katie była jednak bardzo osłabiona i potwornie wyczerpana. Karmienie piersią Andy'ego i bezustanne opiekowanie się niemowlęciem zmęczyły ją zarówno psychicznie, jak i fizycznie.

Spojrzała w stronę okna. Ze zdumieniem stwierdziła, że na dworze zrobiło się ciemno. Zastanawiała się, jak długo spała. Przetarła oczy, usiadła i gdy podniosła rękę, żeby się przeciągnąć, ujrzała stojącego w drzwiach Coopera. W milczeniu się jej przyglądał.

Miał na sobie strój sanitariusza. Ciemnoszare spodnie i białą koszulę z naszytym emblematem. Wyglądał oficjalnie, lecz nie onieśmiałająco. W świetle lampy jasne włosy Coopera były niemal białe.

Na krótką chwilę Katie wróciła myślami do pamiętnego wieczoru, gdy zobaczyła go po raz pierwszy. Wtedy też jej nie onieśmiał, przypomniała sobie. Sam widok Coopera podtrzymał ją wówczas na duchu. Podobnie jak teraz.

-Która godzina? - spytała.

-Minęła dziewiąta - odparł łagodnie. Skinęła głową.

- Andy zaraz zgłodnieje. Zanim zacznę go karmić, powinienam coś przegryźć.

-Zaraz ci coś przygotuję. Na co masz ochotę?
Uśmiechnęła się z wdzięcznością.

-Zjem wszystko, cokolwiek dasz.

-Chcesz kanapkę? Z szynką?

-Z szynką.

-I musztardą?

-I musztardą.

-Białą?

-Białą.

Cooper wyszedł. Katie uderzyły spokój i zwyczajność rozmowy. O mały włos, a roześmiałyby się głośno. Od miesięcy niemal z nikim nie rozmawiała. Teraz zaś, gdy nadarzyła się sposobność ku temu, tematem rozmowy stała się kanapka z szynką. Katie nie miała pojęcia, dlaczego to ją rozbawiło.

Andy z zadowoleniem pełzał na kolorowym kocyku, rozłożonym na podłodze. Katie stanęła w drzwiach między salonikiem a kuchnią, tak żeby mieć oko na synka i równocześnie widzieć Coopera.

Kuchnia była podobnie nieciekawa jak reszta mieszkania. Nawet na drzwiach lodówki nie było żadnej karteczki, przypiętej ku pamięci. Wyglądało na to, że pan tego domu obawia się ujawnić cokolwiek, co mogłoby odkryć cechy jego osobowości.

-Dziś mam nocną zmianę - oznajmił, rozsmarowując mu sztardę na chlebie. - Przykro mi, ale nic na to nie mogłem porazić. Rzadko pracuję nocami.

-Nie przejmuj się. - Katie obdarzyła uśmiechem Coopera.

- Nie ma problemu. Wcale się nie spodziewam, że dla mnie i Andy'ego zmienisz swoje zwyczaje.

Nie patrząc na nią, zapytał szybko:

- Myślisz, że w to uwierzę?

Na wargach Katie zamarł uśmiech. Cooper nigdy jej nie wybaczy, że wpisała go jako ojca dziecka na tym idiotycznym szpitalnym formularzu. I chyba nie powinna winić go za to. Zrobiła rzecz paskudną przyzwoitemu człowiekowi.

- Sprostuję wszystko, kiedy tylko będę mogła - obiecała.

- Zrobię, co trzeba. Obiecuję. Masz na to moje słowo.

Skinął głową, lecz nie powiedział nic więcej. Położył plasterki szynki na chlebie i zgarął kanapki na papierowy talerz, gdzie już leżały białe kartoflane chipsy.

- To niewiele, bo rzadko jadam w domu - powiedział tytułem wyjaśnienia i przesunął w stronę Katie papierowy talerz.

- Przepraszam.

- Nie przepraszaj - odrzekła, sięgając po kanapkę. - To wspaniała kolacja. Od dawna nie jadłam lepszej. Masz może trochę mleka w lodówce?

Wlał mleko do szklanki i w milczeniu przyglądał się, jak Katie je kanapkę.

Czuła się nieswojo, lecz postanowiła tego nie okazywać. Udawała, że wszystko, co zrobiła, jest zupełnie naturalne. Urodzenie dziecka, ucieczka z domu i powrót po dwóch miesiącach z błaganiem o pomoc w gruncie rzeczy zupełnie obcego człowieka.

- Do diabła, gdzie przez ten czas się podziewałaś? - zapytał wreszcie. - Po twojej ucieczce ze szpitala pojechałem do Chestnut Hill, żeby cię odszukać, ale trafiłem do niewłaściwego domu. Podczas tamtej okropnej śnieżycy musiałem zabłądzić. W całym tym rozgardiaszu wtedy dokładnie nie sprawdziłem twojego adresu. Pukałem do różnych drzwi. Nikt z mieszkańców tej dzielnicy nie słyszał o Brennanach. A adres w Las Vegas, który zostawiłaś w szpitalu, okazał się fałszywy.

Katie wbiła zęby w kanapkę. Żuła kęs chleba znacznie dłużej, niż było to konieczne. Wreszcie uniosła głowę.

- Już ci mówiłam. Wtedy w szpitalu byłam prawie nieprzytomna. Podałam swój ostatni adres w Las Vegas, zamiast nowego, w Chestnut Hill. Prawdopodobnie nie potrafiłam też określić numeru domu, w którym mieszkaliśmy z mężem.

Katie wiedziała, że jej wyjaśnienia są tak samo mętne i niewiarygodne jak wszystko, co dotychczas wyznała Cooperowi, lecz na poczekaniu nie potrafiła wymyślić niczego lepszego. Nie uwierzył ani teraz, ani wtedy, kiedy powiedziała, że jej mąż przebywa na Tahiti.

-A więc: gdzie się podziewałaś? - Cooper ponowił pytanie.

-Byłam w domu - skłamała. - Z moim... Z Williamem. Próbowaliśmy się z nim jakoś dogadać. Przez krótki czas wydało mi się, że między nami wszystko dobrze się ułoży, ale potem... - Urwała. Wzruszyła ramionami. Nawet nie musiała udawać, że jest zmieszana. - Nie wiem.

-Mógłbym przysiąc, że od dwóch miesięcy, odkąd opuściłaś szpital, twoja noga w domu Williama nie powstała. Nawet czło-
wiek mniej łatwowerny niż ja uznałby, że chyba kłamiesz. - Katie nie odparła zarzutu. Cooper mówił dalej: - Człowiek mniej łatwowerny niż ja mógłby pomyśleć, że od pewnego czasu przed kimś uciekasz. Szczerze mówiąc, Katie, nie wyglądasz na kobietę, która usiłuje ocalić swoje małżeństwo. Szczerze mówiąc, moja droga, wyglądasz okropnie.

-Masz rację - przyznała - od pewnego czasu nie byłam w domu. Ostatnie dni spędziłam głównie w autobusach i motelach. - Zamilkła na chwilę. Wypiła odrobinę mleka. - Jak ci mówiłam, szukałam bezpiecznego miejsca u kogoś, komu mogę zaufać. Nie mam nikogo takiego. - Spojrzała Cooperowi prosto w oczy. - Oprócz ciebie.

-Wolałbym, żebyś przestała to powtarzać - mruknął.

-Dlaczego?

Cooper zacisnął wargi. W jego oczach pojawiły się gniewne błyski.

-Być może nie jestem człowiekiem, któremu należy ufać.

-To śmieszne. Jasne, że...

-Nie przeceniaj mnie, Katie.

Ton jego głosu był niepokojący. Cooper wyrzucał z siebie poszczególne słowa tak, jakby sprawiało mu to ból. Nie po raz pierwszy Katie uprzytomniła sobie, jak mało wie o tym człowieku. W jego towarzystwie spędziła mniej niż dwadzieścia cztery godziny, w szczególnych warunkach. Coopera Dugana uważała za miłego faceta. Był jej wybawcą. Ale pomoc ludziom w ekstremalnych warunkach należała do jego zawodowych obowiązków. Co wiedziała o Cooperze jako o człowieku?

Nie wiedziała o nim prawie nic.

-Może chcesz, żebym wyniosła się od ciebie? - odezwała się cicho.

-Nie - odparł szybko. - Chodzi mi o coś innego. Nie spodziewaj się po mnie zbyt wiele. Jasne?

-Tak. Ale...

-Zrobię, co będę mógł, żeby ciebie i Andy'ego uchronić przed kłopotami, lecz... - Westchnął głęboko. - Lecz nie oczekuj ode mnie zbyt wiele. A teraz już muszę jechać do pracy - dodał szybko. - Na łóżku położyłem czystą pościel. Przed chwilą ją zmieniłem. Ale dla Andy'ego nie mam żadnej kołyski ani niczego w tym rodzaju.

-Może spać ze mną w łóżku - odparła Katie. - Lub zrobię mu posłanko na podłodze.

Właściwie powinna spać na kanapie. Nie było żadnego powodu, aby Cooper miał odstępować jej własne łóżko. Uznała jednak, że powinna skorzystać z jego propozycji.

-Potrzebujesz czegoś? Jakiegoś jedzenia dla niemowlaka? A może pieluch? - zapytał.

-Nie, dziękuję. Wciąż karmię dziecko piersią. Pieluch wy starczy mi na dwa dni. Niczego nam nie trzeba. Jedź spokojnie do pracy.

Skinął głową. Kierując się do wyjścia, przeszedł obok Katie. Mogłaby przysiąc, że specjalnie unikał jakiegokolwiek fizycznego kontaktu. To bez sensu, uznała. Dlaczego miałby robić coś takiego? A może czuł do niej odrazę i nie mógł znieść jej bliskości?

- Wrócę nad ranem - mruknął.

Po chwili za Cooperem zamknęły się frontowe drzwi. Katie patrzyła, jak odchodzi. Poczulaby się znacznie lepiej, gdyby wiedziała, jak naprawdę przedstawiają się sprawy między nimi.

Kiedy wrócił do domu, na dworze było jeszcze ciemno. Wszedł do mieszkania. Stanął na progu sypialni. Nie mógł poznać swego łóżka. Pośrodku leżała na boku ciemnowłosa kobieta. Obejmowała ramieniem maleńkie niemowlę, owinięte tylko pieluszką. W nocy musiało być jej gorąco, gdyż odrzuciła kołdrę w nogi łóżka, a bawełnianą koszulkę, w której spała, podciągnęła aż ponad majtki. W ciemnym wnętrzu pokoju Cooper niewiele widział. Umiał sobie jednak doskonale wyobrazić, jak Katie wygląda w negliżu.

Do tej pory żadna kobieta nie spała w jego łóżku. Nigdy. Czy uprawiał w nim seks? Tak. Ale czy potem zasypiał tu wraz z partnerką? Nigdy. Oznaczałoby to coś, na czym mu wcale nie zależało. Spanie w obecności innej osoby wymagało pewnej dozy zaufania, na co Cooper nie chciał lub, nie potrafił się zdobyć. A mimo wszystko niemal bez chwili namysłu oddał Katie swoje łóżko. Tak jakby była to rzecz najnaturalniejsza pod słońcem.

Tak jakby tutaj znajdowało się jej właściwe miejsce. Katie i Andy'ego.

Do diabła, co się z nim działo? Dlaczego zachowywał się tak dziwnie?

Od chwili w której ta kobieta pojawiła się w drzwiach jego domu, pragnął się do niej zbliżyć. Instykt podpowiadał mu, by przygarnął Katie do siebie i nigdy nie pozwolił jej odejść. Nie miał pojęcia, skąd wzięła się u niego taka reakcja. Katie nie była ani ładniejsza, ani bardziej interesująca czy rozrywkowa niż inne kobiety, z którymi się spotykał.

Na litość boską, była przecież żoną innego mężczyzny. Miała dziecko. I masę kłopotów na głowie. Była dokładnie taką kobietą, jakiej powinien unikać. Nic jednak nie mogło powstrzymać Coopera przed jednym. Przed pożądaniem Katie. Bardzo jej pragnął.

Od dwóch miesięcy nawiedzała go w snach. Każdego dnia o niej myślał. Zastanawiał się, gdzie jest i z kim, i czy ona sama

i Andy mają się dobrze. Sądził, że wróciła do domu, do męża,

i oboje cieszą się z narodzin syna. Ale po krótkiej wymianie zdań byłby gotów przysiąc, że Katie od dawna nie oglądała swego prawowitego małżonka.

Mimo niezrozumiałych opinii, które wypowiedziała na temat tego człowieka, gdy rodził się Andy, mimo strachu, jaki wówczas objawiała, Cooper był przekonany, że powróciła do dostatniego życia. Była partnerką mężczyzny, który kochał ją na tyle, że uczynił swą żoną. Z pewnością zdążyła się uporać z małżeńskimi problemami. I z pewnością w ogóle zapomniała o istnieniu jakiegoś tam Coopera Dugana.

Teraz jednak zupełnie nie wiedział, co myśleć. Po tym, co oznajmiła mu wieczorem i jak się czuła... Dlaczego w jego domu szukała bezpiecznego schronienia? Odpowiedź na to pytanie

■ nie przestawała dręczyć Coopera. Przed kim uciekała? Dlaczego miała kłopoty? I, do diabła, czemu zwróciła się o pomoc właśnie do niego, a nie do męża?

Zdesperowany Cooper potrząsnął głową. Niczego nie rozumiał. Czuł jednak, że nie powinien dać się w to wszystko wmanewrować.

Cicho wycofał się z sypialni i zamknął za sobą drzwi, mimo że po powrocie z pracy zastał je otwarte. Katie ufała mu, przyi pomniał sobie jej oświadczenie. W odniesieniu nie tylko do własnej osoby, lecz także do dziecka. I to zaskoczyło go zupełnie. Kiedy ostrzegł, żeby go nie przeceniała, bo nie jest człowiekiem godnym zaufania, dokładnie to miał na myśli.

Podobnie jak Katie, wiódł skromne życie, tyle że bardziej uporządkowane. Radził sobie niezłe, jako że swą egzystencję prowadził z dnia na dzień, samodzielnie od piętnastego roku życia. Uznał, że po jakimś czasie Katie też się nauczy żyć samotnie i bez niczyjej pomocy będzie potrafiła rozwiązywać problemy. To tylko kwestia wprawy, niczego więcej.

Albo nauczy się żyć, albo wróci do męża, który jej wszystko ułatwi. Chyba że to właśnie ten człowiek stał się w jej życiu przyczyną wszelkiego zamieszania. Taką możliwość Cooper też musiał brać pod uwagę.

Cień nadziei wkradł się do jego serca. Nie, nie mógł jednak na nic liczyć. Katie Brennan nie była przecież kobietą do wzięcia. Jej małżeński związek, mimo że ułomny, nadal trwał. Cooper nie uważał się za niezwykle uczciwego faceta. Nigdy jednak nie flirtował z cudzymi żonami.

Och, jak bardzo nie znosił nocnych zmian. Po każdej z nich miał popsuty cały następny dzień. W saloniku zdjął koszulę oraz ściągnął buty i spodnie. Już miał pozbyć się reszty rzeczy i przebrać się w nocny strój, który przygotował sobie zawczasu i zo-

stawił na kanapie, gdy nagle od strony drzwi prowadzących do sypialni usłyszał jakiś hałas. Odwrócił się i w słabym świetle lampy ujrzał Katie.

Jej bawełniana koszulka sięgała teraz przyzwoicie do połowy ud, ale dla Coopera nie miało to żadnego znaczenia. Natychmiast dostrzegł, że z całej jej sylwetki, a zwłaszcza z oczu, wyciera požądanie.

- Cooper? - spytała łagodnym tonem. Podniosła rękę, żeby przetrzeć oczy.

Może chciała ukryć to, co czuje, pomyślał. A może udawała, że nie widzi głodu pożądania w jego wzroku. Wiedział, że sam nie potrafił go przed nią zataić.

Poczuł nagłą reakcję ciała. Szybko naciągnął spodnie.

- Wcześniej wstałaś - mruknął.

Opuściła rękę, lecz zaraz potem skrzyżowała je na brzuchu. Gest ten sprawił, że jej piersi naprężyły się pod koszulką, co jeszcze bardziej podnieciło Coopera. Patrzył teraz na jej twarz, na włosy, na drzwi wiodące do sypialni. Wszędzie, byle nie tam, gdzie spojrzeć pragnął najbardziej.

-Słyszałam, jak wróciłeś - powiedziała cicho.

-Czy Andy...?

- Nadal śpi. Obłożyłam go poduszkami. Nic mu się nie stanie. Cooper czuł się dziwnie. Nie potrafił oderwać wzroku od Katie. Jej ciemne włosy były potargane, miała zaspane oczy i lekko zaczerwienioną skórę. Była urocza. Bardzo ponętna. Dopiero przed chwilą opuściła jego własne łóżko.

To żona innego mężczyzny, przypomniał sobie Cooper.

- Co z tobą? - zapytał wreszcie. - Czujesz się dobrze? Skinęła głową.

- Tak. Cudownie. Od miesięcy tak smacznie nie spałam. Jestem wypoczęta.

Cooper wspomniał o kawie. Salwował się ucieczką do kuchni. Ona jest mężatką, powtarzał sobie. Mężatką. Mężatką. Mężatką...

- Jak było w pracy?

Pytanie padło od strony drzwi. Cooper obrócił się i zobaczył, że Katie przyszła za nim do kuchni. W jaśniejszym świetle widział ją teraz wyraźniej. Pod oczyma nadal miała sińce, ale nieco mniejsze niż poprzednio. I mniej blade policzki. Wyglądała lepiej niż dwanaście godzin temu, kiedy zapukała do drzwi jego mieszkania.

Pod obcisłą koszulką Cooper widział teraz wyraźnie idealnie zarysowane, duże piersi, ozdobione pośrodku ciemnymi otoczkami.

Zamknął oczy i policzył do dziesięciu. Miał nadzieję, że Katie nie dostrzeże, co wyprawia z nim jego ciało.

-Cooper?

-Słucham.

-Jak było w pracy?

-W porządku.

-Dobrze się czujesz?

-Tak.

-Wyglądasz kiepsko.

-Czuję się dobrze.

-Ale...

-Dobrze.

-To znakomicie.

Kiedy wreszcie otworzył oczy, zobaczył, że Katie stoi bliżej niż przedtem. Bardzo blisko, jako że kuchnia była maleńka.

Oparła się o blat kuchenny. Jedną stopą w skarpetce dotykała drugiej. W jej włosach połyskiwały złociste refleksy światła. Pachniała mydłem Coopera i jego szamponem.

Z dzbanka z kawą niezdarnie zdjął pokrywkę. Gorący płyn wylał się na podłogę.

Cooper pochylił się, żeby wytrzeć rozlaną kawę. Katie zrobiła to samo. Teraz miał widok jeszcze bardziej fascynujący. Ukłękła przed nim. Jego spojrzenie zatrzymało się na dekolcie bawełnianej koszulki. Czytał kiedyś, że w okresie karmienia piersi kobiety znacznie nabrzmiwiają. Nie miał jednak pojęcia, że mogą być aż tak...

Nie zdołał zebrać myśli, gdyż Katie przyłapała go na podglądaniu. Zarumieniła się. Lekko rozwarła wargi. Oddech miała urywany i krótki. Wyglądała jak kobieta tuż przed osiągnięciem fizycznej rozkoszy. A Cooper nie mógł przyciągnąć jej do siebie i dać tego, czego pragnęła.

Nie po raz pierwszy uprzytomniła sobie, że zwracając się o pomoc do Coopera, popełniła błąd.. Wydawał się jej jeszcze bardziej przystojny i atrakcyjny niż poprzednio.

Po dwóch miesiącach niewidzenia nadal ciągle o nim myślała. Każdego dnia zastanawiała się, co robi, gdzie jest i z kim. Wspominała jego ciepły uśmiech. Dobrze pamiętała poczucie bezpieczeństwa, które jej stwarzał.

Dopiero teraz, gdy na odwrót było już za późno, Katie uprzytomniła sobie, że w jakimś sensie pokochała tego człowieka. Dlaczego więc zdecydowała się zwrócić do niego o pomoc? Był to duży błąd.

Kłęcząc na podłodze i obserwując reakcję Coopera, uzmysłowiła sobie, że ten mężczyzna bardzo ją pociąga. Miała nieprzewartą ochotę natychmiast ściągnąć przez głowę swą bawełnianą koszulkę. Cooper był już półnagi, więc sama też mogła się rozebrać. I na kuchennej podłodze, jęcząc i wzdychając, będą się kochali...

Wyobrażając sobie, co zaraz się stanie, Katie zacisnęła mocno powieki.

Nagle poczuła obok jakiś ruch. Otworzyła oczy. Odetchnęła z ulgą. Zobaczyła, że Cooper wstał. Był wysoki, dobrze zbudowany...

Och...

Podniosła się szybko. Już miała wybiec z kuchni, gdy nagle poczuła żelazny uścisk wokół nadgarstka. Nie odwracając się, usiłowała wyrwać rękę, lecz Cooper nie puszczał. Jego palce zacisnęły się jeszcze mocniej. Przyciągnął Katie do siebie.

Zamiast jednak przytulić ją i zacząć całować - czego pragnęła, a zarazem się obawiała - Cooper obrócił Katie, tak że miał ją teraz przed sobą. Policzkiem otarł się lekko o jej twarz. Raz, drugi, trzeci...

Poczuła, jak uginają się pod nią nogi. Podtrzymał ją i rozchylone usta przesunął po jej skórze. Od nasady szyi po ramię. Ta pieśczoła była tak delikatna, a zarazem przejmująca, że Katie aż jęknęła.

I zaraz potem, tak samo szybko jak objął, łagodnym ruchem odsunął ją na odległość ramienia.

- Jedyne, co powstrzymuje mnie przed tym, żeby wziąć cię zaraz, tu, na podłodze - powiedział schrypniętym głosem - to fakt, że jesteś mężatką. I dopóki będziesz przebywała pod moim dachem, do twoich obowiązków, Katie, będzie należało przypomnienie mi o tym, ponieważ...

Cooper westchnął głęboko. Niechętnie puścił rękę Katie. - Ponieważ...? - powtórzyła, chcąc, żeby mówił dalej. Ruszył w stronę drzwi. Ze złością szarpnął za klamkę.

- Ponieważ obawiam się, że gdy będziesz znajdowała się pod moim dachem, mogę zapomnieć o twoim małżeńskim statusie. Jeśli chodzi o kobiety, robiłem już w życiu różne idiotyczne rzeczy. Nigdy jednak nie zadawałem się z niczyją żoną. - Cooper

podniósł głowę i popatrzył Katie prosto w oczy. - Przynajmniej do tej pory.

Odwrócił się i wyszedł z kuchni.

Katie stała jak przymurowana do podłogi. Nie potrafiła wyznać Cooperowi, że nie ma męża.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Coopera obudził kobiecy śpiew. Nie rozpoznał melodii. Nadal leżał bez ruchu. Z zamkniętymi oczyma zaczął wsłuchiwać się w tekst piosenki.

Kobieta śpiewała o roslym i silnym mężczyźnie, którego kochała. O tym, że powróci do niej pewnego dnia. I że ona sama uczyni wszystko, aby go przy sobie zatrzymać. Tą kobietą była Katie. Melancholijną piosenkę śpiewała z niezwyklej uczuciem. Tak jakby prawdziwe było każde nucone przez nią słowo.

Cooper otworzył oczy. Spojrzał na sufit saloniku, w którym się znajdował, i uzmysłowił sobie, że z jego spokojnego, ustabilizowanego życia nie pozostało nic. Obrócił się na bok i rozejrzał po pokoju. Zobaczył otwarte drzwi do swojej sypialni. Za nimi ujrzał Katie. Siedziała na brzegu łóżka i na kolanach kołysała synka. Szeptala do niego uspokajające słowa.

Dopiero teraz Cooper uprzytomnił sobie, jak cicho jest w mieszkaniu. Miał stereo, telewizor i różne hałaśliwe drobne urządzenia, za którymi przepadają mężczyźni, zwłaszcza samotni, i chętnie je kolekcjonują. Rzadko jednak z nich korzystał. Przede wszystkim dlatego, że niezwykle rzadko bywał w domu.

Dom. Słowo to niewiele dla niego znaczyło. Prawie nic. Mówili o nim konserwatywni politycy i przedstawiciele organizacji społecznych zajmujących się problemami współczesnej rodziny. To wszystko.

Nie ma lepszego miejsca niż dom. Cooper z niesmakiem wy-

powiedział w myśli ciągle powtarzane zdanie. Wyświechtany komunał. Do diabła. Żadne miejsce nie było jego domem.

Gdy miał zaledwie piętnaście lat, dokonał czegoś, co nosiło utartą nazwę „ucieczki z domu”. Tak jakby mieszkanie, które dzielił z rodzicami i siostrą, było prawdziwym domem. Śmiechu warte! Dla niego „ucieczka z domu” oznaczała uniknięcie co najmniej jeszcze jednego bicia przez ojca. Była aktem walki o przeżycie, a nie buntu, jak określali to pracownicy opieki społecznej. Gdyby nie uciekł, pewnego pięknego dnia ojciec pewnie zatłukłby go na śmierć.

Jeden, jedyny raz w życiu Cooper podniósł rękę na ojca. We własnej obronie uderzył go w twarz, łamiąc mu przy tym nos. Krew na dłoni była dla Coopera prawdziwym szokiem. Jeszcze bardziej przeraził go jednak pełen nienawiści wyraz twarzy ojca. Tak więc, nie zwlekając, uciekł z domu. Musiał ratować życie. Opuścił dom i nigdy już do niego nie powrócił.

Od tamtej pory Cooper w ogóle nie miał do czynienia ze swoją rodziną. Żył w domach dziecka, gdy zachowywał się w miarę poprawnie, lub na ulicy bądź w zakładach poprawczych, gdy zachowywał się źle. W pewnej chwili zrozumiał, że z jego życiem dzieje się coś bardzo niedobrego. Nie potrafił już nad nim zapanować. Całkowicie wymykało mu się spod kontroli.

Zwrócił się o pomoc do starej kumpelki z czasów, gdy mieszkał na ulicy. Dziewczyna zaczęła chodzić do szkoły pielęgniarstwa, bo chciała zerwać z dotychczasowym życiem.

To ona, Zoey, pomogła Cooperowi dostać się na kursy zawodowe i zdobyć uprawnienia sanitariusza. Po raz pierwszy robił coś, co mu się podobało. I nie bez znaczenia była doniosłość wykonywanego zajęcia. Ratował ludzkie życie.

Od tej pory zaczął uważać się prawie za normalnego człowie-

ka. No, może niezupełnie uczciwego i pełnowartościowego. Miewał także chwile słabości. Czasami coś ścisnęło go w piersi. Tak jak teraz.

Bo za ścianą Katie Brennan śpiewała synkowi piosenkę o mężczyźnie, którego pragnęła. A Cooperowi pozostawało tylko leżenie na kanapie i oddawanie się marzeniom, by on sam mógł stać się upragnionym przez nią mężczyzną. Wiedział przy tym, że nigdy się nim nie stanie.

Przez otwarte drzwi do sypialni patrzył, jak Katie kładzie uspione dziecko na łóżku i wokół niego układa poduszki. Przez chwilę przyglądała się Andy'emu, niewątpliwie po to, żeby się upewnić, czy smacznie śpi, a potem na palcach wycofała się po cichu z sypialni, zostawiając uchylone drzwi.

Podeszła do Coopera.

Błyskawicznie usiadł na kanapie, przetaił oczy i przyglądał włosy. Uniform sanitariusza zdążył zastąpić znoszonymi džinsami i spłóviałą bawełnianą koszulką. Miał bose stopy.

Zauważył, że Katie także się przebrała. Włożyła na siebie workowate, beżowe spodnie i luźną, kremową tunikę. Cooper był zadowolony, że takie ubranie maskuje jej figurę. Bo nadal miał przed oczyma obraz ponętnej, kusicielskiej kobiety, klęczącej przed nim na podłodze i odsłaniającej istotne części ciała.

-To było ładne - odezwał się, kiedy usiadła obok niego. Zmieszana, spojrzała na Coopera.

-Co było ładne?

- Piosenka. I sposób, w jaki ją śpiewałaś. Masz przyjemnie brzmiący głos.

Uśmiechnęła się nieśmiało i spuściła oczy.

-Dziękuję. Gershwin zawsze dobrze brzmi.

-Mimo to masz ładny głos.

-Dziękuję.

- Andy lubi Gershwiną?

Uśmiechnęła się i skinęła głową.

-Świetnie przy nim usypia. Lubi także Sama Cooke'a i Cata Stevensa.

-Jak widzę, malec ma rozległe muzyczne zainteresowania - z rozbawieniem skomentował Cooper.

Katie odwzajemniła uśmiech, którym ją obdarzył.

- Któregoś dnia zapoznam Andy'ego z muzyką klasyczną i z jazzem. Przedtem jednak będę musiała znaleźć dom, gdzie zainstaluję stereo. Nucenie Mozarta i Coltrane'a to nie to samo, co słuchanie nagrań ich muzyki.

Przez chwilę siedzieli w milczeniu. Przyglądali się sobie.

Pierwszy ocknął się Cooper.

-Która godzina? - spytał.

-Wpół do dwunastej.

Spał tylko cztery godziny. Musiał zadowolić się taką porcją wypoczynku.

-Jest kawa - oznajmiła Katie. - Napijesz się?

-Chętnie. Bez mleka.

Wstała i szybko pobiegła do kuchni. Jej nerwowe ruchy świadczyły o tym, że po porannej scenie czuje się niezręcznie. Dla obojga byłoby lepiej, żeby o niej w ogóle zapomnieli. Sam Cooper nie miał jednak na to ochoty.

Katie wróciła z kubkiem kawy. Cooper z wdzięcznością przyjął gorący napój. Po paru łykach uznał, że jest gotów do rozmowy. Zamiast zacząć ją zdecydowanym tonem, zaledwie wybąkał:

-Musimy pogadać.

-Dobrze.

Sądził, że Katie powie coś więcej, ale milczała. Uznał, że, należą mu się od niej wyjaśnienia, więc się nie odzywał i czekał.

- No i co? - powiedział wreszcie.

Zwilżyła językiem wargi i potarła nerwowo uda. Cooper z zainteresowaniem przyglądał się tej czynności. Był bardzo ciekawy, co teraz odczuwała.

Jest mężatką, przypomniał sobie po raz setny.

Do licha z głosem rozsądku, pomyślał, nadal sącząc powoli kawę.

-Czekam - dorzucił. Cisza przeciągała się stanowczo zbyt długo.

-Wiem - spokojnie odparła Katie. - Jestem ci winna wyjaśnienia. Zaslugujesz na nie.

-No więc?

-Trudno to wszystko wytłumaczyć.

-Nie musimy się spieszyć. Mamy mnóstwo czasu. Przed nami cały dzień.

Katie zaczęła bębnić palcami po kolanach i znów Cooper jak zafascynowany przyglądał się nerwowym ruchom jej rąk. Pewnie ma ładne kolana, pomyślał. Szczupłe, zaokrąglone i...

Jest mężatką.

Chyba łydki też ma zgrabne, pomyślał. Jej nogi na pewno mają idealny kształt. Przy każdym kroku lekko napinają się mięśnie łydek. Cooper westchnął głęboko. Kobięce nogi stanowiły zawsze przedmiot jego zainteresowań.

Jest mężatką.

Wiele natomiast mógłby powiedzieć o jej piersiach. Już wiedział, że są fantastyczne.

Jest mężatką.

Najbardziej jednak podobały mu się oczy Katie. Mógł wyczytać z nich wiele różnych odczuć. Smutek, radość, tęsknotę, inteligencję. .. I znajomość rzeczy, których Cooper zapewne nie doświadczy nigdy.

Jest mężatką, skończony idioto! Ile razy trzeba ci to jeszcze powtarzać?

Cooper wypił następny łyk kawy. Była wciąż gorąca. Parzyła język i gardło. Dobrze mu tak! Zachowywał się jak ostatni kretyn.

- To... to mój... mój mąż - niepewnym głosem zaczęła Katie.

Aha, przypomniał sobie Cooper. Ma przecież męża. Jak mógł o tym zapomnieć?

-Ja... To znaczy,.. Sądzę, że sam zdołałeś się już domyślić.

-Czego?

-Ja... To znaczy... Uciekłam z domu - wykrztusiła wreszcie.

Cooper ułożył głowę na oparciu kanapy. Spod półprzymkniętych powiek popatrzył na Katie.

- Uciekłaś z domu?

Nie patrząc na niego, skinęła głową.

-Tak. To długa historia.

-Już mówiłem. Masz czas. Masz mnóstwo czasu aż do wieczora.

Podniosła dłoń i zakryła nią oczy.

-Chciałabym móc powiedzieć ci całą prawdę.

-Co masz na myśli?

Opuściła rękę i położyła ją na kolanie.

- Nic. - Westchnęła głęboko. - Chyba ci wystarczy, jeśli powiem, że mam małżeńskie kłopoty i przez jakiś czas muszę przebywać poza domem?

Cooper zamyślił się na chwilę. Ona to wszystko nazywa wyłącznie małżeńskimi kłopotami? Czysta kpina! Zrobiła z niego legalnego ojca dziecka, które należało do jej męża. Ukrywała się w nędznym mieszkaniu przygodnego znajomego, zamiast wró-

cię do swego luksusowo wyposażonego, wytwornego domu w Chestnut Hill. A także, o ile się nie mylił, nie była odporna na wdzięki mężczyzny, który udzielił jej tymczasowego schronienia.

- Nie wystarczy - oświadczył. - Obiecałaś wyjaśnić wszystkie twoje poczynania, a nie opisywać istniejącą sytuację. Sądzę, że mam prawo wiedzieć, dlaczego zrobiłaś mnie ojcem dziecka, o co cię nie prosiłem. Dziecka, którego nie chcę i z którego poczęciem nie miałem nic wspólnego. Chciałbym też się dowiedzieć, po kiego diabła mam narażać się twemu mężowi, przetrzymując cię u siebie i stwarzając pozory, że z sobą sy piamy.

Od dłuższego już czasu Katie siedziała ze wzrokiem wbitym w podłogę.

- Podałam cię jako ojca Andy'ego, bo chcę, żeby mój syn miał szczęśliwe życie. Bo nie chcę, aby mój... aby William mi go odebrał.

Cooper zauważył, że, jak zwykle, Katie zmieniła temat. Znow mówiła o Andym i o sobie. Nie był to jego problem. Mimo że tamtej pamiętnej nocy, kiedy rodziło się dziecko, czuł się za nie i jego matkę w jakimś sensie odpowiedzialny, od samego początku był zdania, że ta kobieta musi radzić sobie sama. Jej zmartwienia nie powinny go obchodzić.

-Opieka prawna nad Andym - powiedział, siłąc się na rzeczowość i spokój -jest sprawą, którą musisz załatwić bezpośrednio z mężem. Lub za pośrednictwem dobrego adwokata.

-Nie stać mnie na to.

Cooper rzucił znacząco okiem na brylantową obrączkę, tkwiącą na palcu Katie. Osobiście bardzo wątpił, czy w ogóle istnieje coś, na co ta kobieta nie mogłaby sobie pozwolić. Mimo to jednak powiedział:

-Są adwokaci przydzielani z urzędu ludziom, których nie stać na zapewnienie sobie pomocy prawnej. Mogą...

-Potrzebny mi naprawdę doskonały adwokat. — Katie prze-
rwała Cooperowi. - Żaden prawnik przydzielony z urzędu w ni-
czym mi nie pomoże.

-A więc ściągnij z palca to swoje brylantowe cacko i wy-
najmij doskonałego adwokata.

Uniosła lewą rękę i zaczęła przyglądać się kosztownej obrączce.
Dostała ją od Williama podczas ślubu w Las Vegas. Była
przepiękna, rzucała się w oczy. Gdyby Katie sama mogła wybie-
rać, nigdy by tak kosztownej sobie nie kupiła. U jubilera spodo-
bała się jej obrączka zupełnie inna, bez brylantów, lecz William
się uparł.

Nie miała pojęcia, ile dostałaby teraz za to cacko. Na pewno
było wartekilka tysięcy dolarów.

- Nie starczy - oznajmiła z przekonaniem. - Nie ma na świe-
cie takich pieniędzy, które utrzymałyby tego łajdaka z dala ode
mnie.

Rzuciła okiem na Coopera. Przyglądał się jej uważnie. Miał
nieodgadnioną twarz. Nie wiedziała, co myśli. Zapewne widział
w niej tylko żonę bogatego człowieka, kobietę płytką i nienatu-
ralną, uciekającą od męża dlatego, że jej nie doceniał lub z ja-
kiegoś innego, błahego powodu.

Pragnęła Cooperowi wyjawić prawdę. Zasługiwał na wyjaś-
nienia. Wiedziała jednak, że jej nie uwierzy. Niby dlaczego miałby
to zrobić, kiedy dla niej samej cała sprawa była wręcz nie-
prawdopodobna?

-Wyrzucisz mnie i Andy'ego, kiedy będę milczała?

-Co takiego?

-Jeśli odmówię wyjaśnień, wyrzucisz mnie z dzieckiem na
ulicę?

-Jasne, że nie. Ale...

-Więc niczego ci nie powiem.

-Katie...

-Cooper, daj mi tydzień, bardzo cię proszę. Potem oboje zostawimy cię w spokoju. Odejdziemy stąd. Dopilnuję, żeby wprowadzono poprawkę w akcie urodzenia Andy'ego. Obiecuję, że już nigdy nie usłyszysz o mnie.

-Ale...

-Pozwól mi zostać u ciebie tylko przez tydzień - powtórzyła błagalnym tonem. - To wszystko, o co proszę.

Westchnął ciężko, lecz nadal nie spuszczał z niej wzroku.

-A skąd mam mieć pewność, że ten twój mąż nie narobi mi w przyszłości jakichś kłopotów?

-Zrobię wszystko, żeby mnie nie odnalazł.

-Dlaczego mam ci wierzyć, że za tydzień stąd odejdziesz? Jaką mam pewność, że wtedy nie oświadczysz, iż musisz u mnie zostać jeszcze przez tydzień?

Ten człowiek marzy o tym, żeby się mnie pozbyć, pomyślała Katie. Po tym, jak narozrabiała, nie mogła mieć do niego o to żadnych pretensji. Miał jej dość.

-Daję słowo - powiedziała cicho.

-Och, co za wspaniałomyślność! - mruknął z przekąsem Cooper. Uśmiechnął się ironicznie. - Jestem pewny, że twoje słowo jest tyle warte co złoto.

Spojrzała znów na ozdobioną brylantami obrączkę na palcu.

- Jest tyle warte - przytaknęła. - Musisz mi wierzyć.

Cooper zgodził się, żeby przez tydzień mieszkała u niego. Przez cały ten czas żałował swej decyzji. Nie tylko dlatego, że od codziennego sypiania na kanapie bolał go kręgosłup i że w ogóle sypiał kiepsko. Ale dlatego, że zbyt często budził się

oświecie, słysząc, jak Katie śpiewa synkowi melancholijne piosenki. Głos jej, delikatny, a zarazem przejmujący, drażnił go i niepokoił.

Każdego ranka podawała mu kawę i śniadanie przed wyjściem do pracy. Wieczorem, gdy wracał, zawsze oczekiwała go z gorącą kolacją. Powiedziała, że robi to dlatego, iż lubi gotować i nie chce wyjść z wprawy. Oznajmiła, że przynajmniej w ten sposób jest w stanie zrewanżować się za okazaną gościnność.

Do diabła z gościnnością, pomyślał Cooper. W stosunku do tej kobiety żywił skomplikowane uczucia. Gościnność zaś nie należała do jego zalet.

Najbardziej jednak intrygowało go to, co działo się po kolacji. Pośrodku podłogi Katie rozpościerała w saloniku wielobarwny kocyk i kładła na nim na brzuszku małego Andy'ego. Śmiała się i cieszyła z jego zabawnych ruchów. Czasami nieoczekiwanie przytulała dziecko do siebie i całowała je w policzek. Zachwycony Andy na pieśczętę matki odpowiadał radosnym gaworzeniem, a na jego pyzatej, rumianej buźce ukazywał się szeroki uśmiech.

Te sceny z jakiegoś niewytłumaczalnego powodu emocjonalnie angażowały Coopera. Odkładał na bok gazetę, spoza której zerkał na matkę i dziecko, siadał obok nich na podłodze, żeby uczestniczyć w zabawie. Mając Katie i Andy'ego pod swoim dachem, doznawał zdumiewających odczuć. Po prostu ożywał.

Zaraz jednak przychodziły gorzkie refleksje. Przypominał sobie, że jego goście niebawem odejdą. Katie ma bogatego i zapewne wpływowego męża. Przez cały czas powtarzał sobie, że powinno mu na niej zależeć.

Jeśli nawet sprawy między Katie a jej mężem układały się źle, to i tak nie była typem kobiety, z jaką powinien się wiązać. Potrzebowała mężczyzny jako życiowej podpory. Faceta, który

by koło niej skakał i zapewnił jej dobrobyt. Przywykła do poziomu życia, na jaki Coopera nigdy nie było stać. W żadnym razie nie był dla tej kobiety odpowiednim partnerem.

Jakiż byłby ze mnie ojciec dla Andy'ego, myślał, patrząc na wesole igraszki matki i syna na podłodze saloniku. Cztery dni, które u niego spędzili, nie wystarczyły, by przywykł do ich obecności. Teraz, siadając na ziemi, musiał zmienić zdanie i przyznać, że w towarzystwie Katie i jej synka czuł się naprawdę dobrze. Nie podobało mu się tylko to, że coraz bardziej do nich się przywiązywał.

Katie i Andy stanowili rodzinę. Emanowali miłością, czułością i serdecznością. W ich życiu dla niego nie było miejsca. Nie nadawał się na męża ani tym bardziej na ojca.

Wizyta tej dwójki zmieniała w sposób zasadniczy monotonną egzystencję Coopera. Andy i jego mama stanowili sympatyczną parę. Dostarczali mu rozrywki. Mieli jednak swoje życie, a on swoje.

Dzisiaj jednak Cooper nie myślał o tych wszystkich sprawach. Po prostu cieszyła go obecność gości. Ułożył się na podłodze, podparł ręką głowę i z przyjemnością obserwował zabawy matki i synka. Tuż obok Andy'ego leżała grzechotka. Po wielu nieudanych próbach chwycenia zabawki niemowlak zacisnął wreszcie piąstkę na uchwycie grzechotki. Cooper był zachwycony tym osiągnięciem malca. Poczul się dumny. Roześmiał się głośno.

- Świetnie, Andy - powiedział do niemowlaka. - Oby tak dalej.

Katie także się roześmiała. Poklepała synka po plecach.

- Jest znacznie sprawniejszy niż inne dzieci w jego wieku - oznajmiła z dumą. - Kiedyś pewnie będzie dobrym majsterklepką.

Cooper potwierdził *jej* opinię skinieniem głowy, choć uznał, że jeszcze upłynie wiele wody, zanim Andy weźmie do ręki pędzel lub narzędzie służące do majsterkowania.

-Może wyrośnie z niego jakiś artysta.

-Może - odrzekła Katie. - Sądzę jednak, że raczej zajmie się ogólnospołecznymi problemami gnębiącymi świat. Poświęci się walce z głodem i chorobami nękającymi ludzkość, propagowaniu wszechświatowego pokoju i kolonizowaniu przestrzeni kosmicznej.

Cooper znów pokiwał głową.

- Pewnie masz rację. Ale dam głowę, że w wolnych chwilach Andy zajmie się malowaniem.

Katie uśmiechnęła się lekko.

- Kochane dziecko.

Ona też leżała na podłodze obok barwnego kocyka, w pobliżu Coopera. Ich głowy niemal się stykały. Ułożyła się na brzuchu i oparła brodę na dłoniach zwiniętych w pięści.

- Czy zawsze chciałeś być sanitariuszem? - spytała ni stąd, ni zowąd.

Zdziwiony Cooper uniósł brwi. Aby móc spojrzeć na Katie, musiał odwrócić głowę.

-O rany, skąd w ogóle przyszło ci na myśl takie pytanie?

-Nie mam pojęcia. Ale to zawód niezwykły. - Wzruszyła lekko ramionami. - Po prostu byłam ciekawa. Jeśli nie chcesz, nie odpowiadaj - dodała szybko, jakby zaniepokojona.

-Nie o to chodzi.

-A o co?

-Tylko że...

Cooper musiał przyznać, że pytanie było zupełnie niewinne. Zadane dlatego, że Katie zainteresowała się jego pracą. Mówiąc o sobie, nie zdradziłby przecież żadnych państwowych tajemnic.

Więc skąd u niego taka niechęć, by jej odpowiedzieć? Nie miał pojęcia.

Popatrzył na dziecko leżące na kocyku. Usiłowało przewrócić się na plecki. Zupełnie odruchowo Cooper wyciągnął rękę do Andy'ego i lekko dotknął palcem niemowlęcej rączki. Andy z wysiłkiem odwrócił główkę w jego stronę i mocno zacisnął paluszki na nowej zabawce. Coopera zadziwiła siła, z jaką to uczynił.

- Nie zawsze chciałem zostać sanitariuszem - odrzekł wreszcie.

Nie powiedział nic więcej.

- Będąc dzieckiem, kim pragnęłaś się stać, gdy dorośniesz? Zameczy mnie pytaniami. Nie popuści, dopóki czegoś jej nie powiem, pomyślał. Nie miał jednak ochoty psuć miłego nastroju, który zapanował między nimi, więc odparł szczerze:

- Jako dziecku zależało mi tylko na przeżyciu. Chciałem stać się jak najszybciej człowiekiem dorosłym.

Katie ze zdziwieniem uniosła brwi.

-Jak to?

-Gdy byłem bardzo mały, chciałem zostać czarnoksiężnikiem - wyjaśnił Cooper. - Pragnąłem umieć zniknąć na zawołanie. Potem chciałem zostać kierowcą ciężarówki. Jeździć bez przerwy po całym kraju i nie musieć wracać do domu. - Westchnął i poruszył się lekko. Nie wiedział, dlaczego w ogóle mówi Katie rzeczy, o których sam wołał nigdy nawet nie myśleć. - Wreszcie postanowiłem stać się bokserem - dodał i nagle za milkł.

-Dlaczego? - spytała Katie.

Ułożył się tak, żeby móc dobrze ją widzieć.

- Bo choć raz chciałem sprać ojca. Zbić go tak mocno, jak on bił mnie.

-Ojciec cię bił? - zapytała cicho.

-Tak.

Czekał na jakąś reakcję z jej strony. Powinna go zbesztać lub okazać mu współczucie, tak jakby nadal był biednym dzieckiem. Czekał, aż zacznie mu matkować, zabawi się w psychoanalitka bądź też odsunie się od niego, jakby był potencjalnym seryjnym mordercą.

Zamiast tego powiedziała łagodnym tonem:

- Nie pojmuję ludzi, którzy znęcają się nad dziećmi. Zawsze było to dla mnie zupełnie niezrozumiałe. Teraz, gdy zostałam matką Andy'ego, jeszcze trudniej mi wytłumaczyć takie postępowanie. Przecież dziecko to słaba istota. Kto zechciałby zrobić mu krzywdę? Jak można bić kogoś mniejszego i bezbronnego? Jak człowiek, który uczynił coś takiego, może potem spokojnie żyć?

Dobre pytania, uznał Cooper. Nie umiał jednak na nie odpowiedzieć.

- Przykro mi, że miałeś takiego ojca - dodała spokojnie. - To wspaniale, że pomimo przeżytych okropności jesteś takim do brym człowiekiem. Cieszę się, że nie stałeś się podobny do ojca. Cooper zawahał się przez chwilę.

-Kto twierdzi, że nie stałem się do niego podobny? W oczach Katie dostrzegł zdumienie.

-Żarty sobie stroisz.

-Nie.

- Cooper, jak możesz w ogóle mówić coś takiego? Jesteś najmilszym i najlepszym człowiekiem, jakiego w życiu spotkałam. Niezwykle uczciwym.

Zaśmiał się nerwowo.

-Jasne - warknął. - Miłym i dobrym.

-To prawda. Kto zdecydowałby się wyjechać z domu w za-

dymkę śnieżną, aby pomagać innym tylko dlatego, że potrafi to robić? Kto zająłby się przerażoną kobietą i jej dzieckiem nawet wówczas, gdyby nie chciała wyjawić mu przyczyny, dla której szuka schronienia? Odpowiedź brzmi: człowiek dobry i uczciwy. Cooper, jesteś właśnie taki.

Znów zaczął się śmiać, lecz szybko się opanował.

-Katie, to twoja subiektywna opinia. Masz do niej pełne prawo. Lepiej byłoby nazwać ją iluzją.

-Cooper...

Zanim zdołała znów się odezwać, zerwał się z podłogi i uciekł do kuchni. Przeklinał skromne rozmiary mieszkania. Do tej pory był z niego zadowolony. Mało łatwiej było sprzątać. Teraz jednak zdał sobie sprawę z innej wady niewielkich pomieszczeń.

Żyjąc stłoczeni, ludzie wygadują i wyczyniają przeróżne dziwne rzeczy.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Katie czuła się okropnie. Jak w więzieniu. Od pięciu dni przebywała zamknięta w czterech ścianach małego mieszkania Coopera. Była przeświadczona, że jeśli zaraz nie wyjdzie na dwór, żeby zaczerpnąć świeżego powietrza, to z pewnością zwariuje. Brakowało jej świadomości tego, że jest wolna.

Tęskniła do chodzenia boso po trawie. Do lunchów poza domem, w małej, sympatycznej kafejce. Marzyła, żeby słyszeć ludzkie głosy, iść do kina i robić niecodzienne zakupy.

Tęskniła do ludzi.

Jej samopoczucie pogarszał jeszcze ponury wygląd mieszkania Coopera. Było bezosobowe, nijakie i bezbarwne. Męczące. Nie było w nim półek z książkami, które mogłaby czytać. Nie dostrzegła żadnych pamiątek nawiązujących do przeszłości Coopera, spędzanych wakacji i podróży. Nie było tu też żadnych fotografii krewnych ani znajomych. Ani też niczego, co wiązałoby się z jakimiś faktami z jego życia.

Jak mógł przebywać w takim otoczeniu? Jak tu wytrzymywał? zastanawiała się Katie. W Las Vegas była bardzo biedna, ale zawsze robiła wszystko, żeby mieć mieszkanie ładne, przytulne i zadbane. Umeblowane sprzętami kupowanymi wprawdzie na wyprzedazach, ale gustownymi, i przyozdobione kolorowymi przedmiotami.

A mieszkanie Coopera... ?

Wyglądało jak ponury pokój hotelowy. Mógłby opuścić je

z jedną tylko walizką i niczego by mu nie brakowało. A jeśli właśnie o to chodziło temu człowiekowi? zgadywała Katie. Może nie chciał do niczego się przywiązywać?

Nie chciał lub nie był w stanie.

Ta ostatnia myśl zbulwersowała Katie. Nie rozumiała, dlaczego. Miała przecież własne kłopoty, z którymi powinna się uporać.

Teraz, na przykład, musiała zrobić coś, żeby nie oszaleć, zamknięta w mieszkaniu Coopera. Uwięziona z własnej woli.

- Andy, kotku, bardzo cię kocham - powiedziała do dziecka leżącego na kocyku, jak zwykle rozłożonym na środku pokoju.

- Ale muszę stąd wyjść. Co powiesz na małą wycieczkę w pięknym nosidełku?

Andy machał energicznie nóżkami, wyciągał rączki do mamy i gaworzył, zachwycony.

Na ten widok Katie się roześmiała.

- Widzę, że masz ochotę.

Włożyła workowate szorty barwy khaki i zbyt obszerną bawełnianą koszulkę. A więc strój, w którym nie rzucała się w oczy, niczym nie przypominający jej eleganckich ubiorów, w jakich swego czasu widywał ją William. W Pennsauken z pewnością nie będzie jej szukać. Nie знаła południowego Jersey. Odkryła je dopiero próbując odnaleźć Coopera. Był to jeszcze jeden powód, uznała, żeby poznać najbliższą okolicę.

Związała włosy w koński ogon, wsadziła Andy'ego do nosidełka i założyła je na plecy. Słońce przygrzewało już silnie, więc na główkę dziecka nałożyła miękki kapelusik, a na swój nos przeciwsloneczne okulary. Sprawdziła, czy ma drobne na autobus i dość pieniędzy na lunch, wsunęła portfel do kieszeni, zarzuciła na ramię torbę z pieluszkami Andy'ego i podeszła do frontowych drzwi.

Ujawszy klamkę, wahała się przez chwilę. Przez pięć dni przywykła do stałego przebywania w mieszkaniu Coopera. Teraz poczuła się trochę niepewnie. Pewnie dlatego, że opuszczała je sama. W pobliżu nie było nikogo. Za to był z nią Andy. Nie pomógłby jednak mamie, gdyby znalazła się w opałach.

To nonsens, uznała Katie. Nic jej nie zagrażało. Była bezpieczna. Na kłopoty naraziłaby się, przebywając dłużej pod wspólnym dachem z Cooperem. Coś ją do niego ciągnęło. Miała związane z nim sny...

Jednej nocy wyszła na palcach z sypialni i stojąc w drzwiach saloniku obserwowała go, jak śpi. Chwilę przedtem występował w jej śnie. Gdy się obudziła, nie mogła się oprzeć chęci sprawdzenia, czy nic mu się nie stało.

Podeszła blisko.

Leżał na plecach, obnażony po pas. Zrzucił z siebie koldrę. Było widać białe bawełniane spodenki. Jego pierś podnosiła się i opadała. Katie nie mogła oderwać wzroku od owłosionego torsu. Miała nieprzepartą ochotę wsunąć palce w jasne kędziorki i przeciągnąć dłonią po jego piersi.

Musiła nieświadomie wydać jakiś dźwięk, gdyż nagle Cooper poruszył się i przewrócił na bok. Kosmyk blond włosów opadł mu na oczy. Zanim Katie zorientowała się, co czyni, odgarnęła mu włosy z czoła. Westchnął przez sen i wymamrotał coś, czego nie zrozumiała. Pragnęła przytulić się do niego.

Muszę wyjść z tego domu. I to natychmiast. Bo oszaleję, uznała, z trudem otrząsając się z nękających ją myśli.

Nacisnęła klamkę, a potem wyszła z mieszkania, zatrzasnąwszy za sobą drzwi. Dopiero wtedy uprzytomniła sobie, że nie może wrócić i dostać się do środka. Nie posiadała kluczy. Cooper miał wrócić około wpół do piątej, a teraz dochodziła druga. W torbie z pieluszkami znajdowało się zapasowe ubranko i dwie butelki

wody. Andy był nakarmiony. Katie uznała, że do wpół do piątej świetnie dadzą sobie radę.

Skierowała kroki w stronę przystanku autobusowego, na którym wysiadła pięć dni temu. Była szczęśliwa i gotowa przeżyć miłą przygodę.

Gdy Cooper otwierał drzwi, w mieszkaniu panowała dziwna cisza. Zwykle słyszał dźwięki słuchanej przez Katie muzyki jazzowej. Często dobiegał go także jej śpiew. Wczoraj, na przykład, zastał ją w saloniku, z Andym w ramionach tańczącą jakiegoś bluesa. Oboje mieli roześmiane, szczęśliwe miny. Na jego widok odwrócili głowy, a Katie, przekrzykując muzykę, zawołała:

- Cześć! Witaj w domu!

Coopera coś ścisnęło w piersi, kiedy usłyszał to powitanie. Wydawało mu się, że znalazł się w cudzym mieszkaniu. Miał ochotę wyjść. I zaraz potem wrócić. Żeby usłyszeć te same miłe słowa.

Dziś jednak w mieszkaniu przywitała go cisza. Taka jak niegdyś, gdy mieszkał sam.

-Katie?

-

zawołał.

Odpowiedzi nie było.

-Katie? - powtórzył. Nie doczekał się jednak odpowiedzi. Rozejrzał się wokoło. W kącie pokoju zobaczył podróżną torbę Katie, a przy łóżku porządnie złożony barwny kocyk Andy'ego. Dopiero wtedy, gdy się przekonał, że nie zabrała swoich rzeczy, poczuł, jak głośno bije mu serce. Żeby się uspokoić, przez chwilę oddychał głęboko.

Starał się nie wpadać w panikę.

Na drzwiach nie znalazł śladów włamania. Nic nie wskazywało na to, że Katie i jej synka wprowadzono siłą. Dokąd więc poszła bez uprzedzenia? Gdzie się teraz podziewała?

Cooper zdjął uniform sanitariusza i przebrał się w domowe ubranie. W saloniku włączył odtwarzacz płyt. Kobięcy głos dobiegający z głośników był znacznie mniej sympatyczny niż Katie. Cooperowi musiał jednak teraz wystarczyć. Lepsze to niż nic, pomyślał. Był cały w nerwach.

Naciągał właśnie niebieskie dżinsy, gdy rozległ się dźwięk dzwonka. Bez koszuli, Cooper podbiegł do frontowych drzwi. Otworzył je szeroko.

Jego oczom ukazała się Katie z Andym w nosidełku. Za nią stał wysoki, potężnie zbudowany starszy człowiek w przepoczonej roboczej koszuli. Trzymał fotel na biegunach.

- Cześć - z entuzjazmem w głosie Katie powitała Coopera.
- Przepraszam. Zapomniałam, że nie mam kluczy do twojego mieszkania. Uzmysłowiłam to sobie dopiero wtedy, kiedy je zatrzęsnęłam i znalazłam się na zewnątrz.

Katie przeszła obok Coopera, torując drogę obcemu mężczyźnie. Odwróciła się do niego.

- Conrad, postaw fotel w saloniku - poprosiła.
Conrad? zdziwił się Cooper. Kim jest ten Conrad? Mężczyzna pochylił się i ostrożnie ustawił fotel w miejscu wskazanym przez Katie. Potem odwrócił się i wyciągnął rękę do Coopera.

-Jestem Conrad DiStefano, antyki - przedstawił się z uśmiechem na twarzy.

-Conrad? - powtórzył Cooper.

-Aha. Możesz mówić mi po imieniu.

-Prawda, że fantastyczny? - odezwała się Katie, wskazując fotel. - Znalazłam go w Pennsauken Mart. Cooper, czy znasz to miejsce? Jest wprost niewiarygodne. Andy i ja spędziliśmy tam ponad dwie godziny, a nie zdołaliśmy obejrzeć wszystkiego. Conrad jest stamtąd. Ma wspaniały sklep z antykami. Na widok

tego fotela na biegunach wprost oszalałam z zachwytu. Jest niemal identyczny jak fotel mojej babci. Pamiętam go z czasów wczesnego dzieciństwa. Conrad oddał mi go za piosenkę.

-To znaczy: za ile? - chciał dowiedzieć się Cooper. Katie spojrzała na niego i roześmiała się.

-Za piosenkę. Dosłownie.

-Zaśpiewała moją ulubioną - wyjaśnił Conrad. - W przy szłym miesiącu upłynie dokładnie czterdzieści sześć lat, odkąd śpiewaliśmy ją podczas naszego wesela. Katie pięknie ją wy konała.

-Czy to nie urocze? - spytała, spoglądając na Coopera.

-Kiedy usłyszałem, że nie ma bujanego fotela, żeby usypiać na nim małego, pomyślałem sobie, że... - ciągnął Conrad - że to prawdziwa zbrodnia. Na naszym fotelu Ginny i ja wykołysali śmy całą szóstkę dzieci.

-Szóstkę? - z niedowierzaniem powtórzył Cooper.

-Tak. Mam sześcioro dzieci. I każde z nich jest dziś inżynierem - oznajmił z uśmiechem. - Szkoda tylko, że tak bardzo przejmują się swoją pracą. Byłoby miło mieć kilkoro wnucząt. Ale co robić? Trzeba respektować styl życia młodych, nie ma na to rady. Na szczęście, Mikey i Laura zaczynają mówić o potom stwie. Tak więc około Bożego Narodzenia może doczekamy się w rodzinie kogoś nowego. Kto wie?

Cooper stał nieruchomo, jak przymurowany do podłogi. Zdołał tylko wymamrotać:

- Hmm... a więc... musi pan być dumny ze swych dzieci. Stary człowiek z zapalem pokiwał głową.

-Jasne, że jestem. Lisa jest inżynierem od aeronautyki, Benny inżynierem mechanikiem, Paulie - inżynierem budowlanym, takim od konstrukcji mostów, a Mindy, najmłodsza, jest...

-Panie DiStefano, proszę się nie obrazić, ale...

-Mów mi po imieniu.

-A więc, Conradzie, Katie i ja powinniśmy...

-Rozumiem. - Conrad przerwał Cooperowi. - Na mnie już czas. Muszę wracać do sklepu. Dziękuję, Katie - dodał, na pożegnanie wyciągając rękę.

-To ja bardzo ci dziękuję - odparła szybko. - Tobie i Ginny. Dopilnuj, żeby zadbała o swoje kolano. Dobrze?

-Tak. Kiedy do nas przyjdiesz, weź z sobą małego. Obie cujesz?

-Zgoda. Będę w przyszłym tygodniu.

Conrad wyszedł. Zatrzasnął za sobą drzwi. Katie nie spuszczała wzroku z Coopera. Nadal stał jak ogłuszony. Otwierał usta i zamykał. Nie wiedział, co powiedzieć. Wreszcie spojrzął na Katie.

-*O co chodzi?* - spytała.

-Do diabła, co to miało znaczyć? - warknął głośno.

-Co?

-Co, do licha, robiłaś przez całe popołudnie?

-Poszłam na zakupy.

-Aha. Poszłaś na zakupy - powtórzył cierpkim tonem.

-Czemu to cię dziwi? Co w tym złego?

Co złego? powtórzył w myśli rozzłoszczony Cooper. Wrócił z pracy i nie zastał Katie. Bał się, że stało się jej coś okropnego. A ona co? Jakby nic się nie stało, zadowolona z siebie wkracza do domu, i to w towarzystwie jakiegoś dopiero co poznanego faceta.

Co złego? Przytąszyła mebel do jego domu. Nie miała prawa tego robić. Najgorsze ze wszystkiego było jednak to, że Cooper nie miał nic przeciwko fotelowi na biegunach, stojącemu pośrodku saloniku.

- Hmm... - zaczął. Przesunął dłonią po włosach. Pragnął

ukryć zdenerwowanie. - Często robisz takie numery? - zapytał z pozornym spokojem.

Katie ze zdziwieniem popatrzyła na Coopera.

-Numery? Jakie numery? Co masz na myśli?

-Często na ulicy zaprzyjaźniasz się z obcymi? Wzruszyła ramionami. Nie podobał się jej ton głosu Coopera.

Było widać, że jest zły. Nie rozumiała, dlaczego. Nic złego przecież nie zrobiła. Poszła na zakupy, zobaczyła staroświecki fotel na biegunach i wdała się w rozmowę z Conradem i jego żoną. Potem stała się posiadaczką starego mebla, Conrad zaofiarował się, że go dostarczy na miejsce, a ona podała mu adres Coopera.

Katie nie przyszło na myśl, że to nie jej dom. Nie miała domu. Aż do tej chwili.

- Nie, raczej nie - odparła. - Ale Conrad i Ginny byli tak serdeczni, kiedy zaczęłam z nimi rozmawiać, że...

Chciała powiedzieć Cooperowi, że starsi państwo przypomnieli jej własnych rodziców. A widok fotela na biegunach przywołał falę wspomnień z dzieciństwa. Wróciła myślami do małego domku w zachodniej części stanu Kentucky, gdzie się wychowywała. Do życia łatwego, beztroskiego i szczęśliwego. Od dawna nikt nie był dla niej tak ciepły i serdeczny jak właściciele sklepu z antykami. Państwo DiStefano uświadomili jej, jak dobrze jest znajdować się wśród troskliwych ludzi. Pozyskać sobie przyjaciół.

Zamiast o tym wszystkim powiedzieć Cooperowi, Katie mówiła dalej:

- Ten mebel nie kosztował mnie ani grosza. Trudno jest usypiać Andy'ego kołysząc go na rękach. A tym bardziej na twoim łóżku. Fotel nie zajmuje wiele miejsca i nie robi hałasu. Pewnie nawet nie dostrzeżesz, że tu stoi.

Przyglądał się jej długo i w milczeniu. Ręce oparł na udach. Widok obnażonego torsu wznoszącego się i opadającego przy każdym oddechu działał na zmysły Katie.

Wreszcie Cooper zdobył się na pytanie:

- Co zamierzasz zrobić z tym gratem, kiedy będziesz się wyprowadzać?

Dopiero w tej chwili Katie uzmysłowiła sobie, co uczyniła. Na śmierć zapomniała o tym, że ma opuścić Coopera, i to wkrótce. Dopiero teraz pojęła, dlaczego był taki zły. Sprowadziła fotel na biegunach, jakby to był jej własny dom, w którym zamierzała pozostać. A Cooper parokrotnie dawał do zrozumienia, że jej pobyt pod tym dachem musi się wkrótce definitywnie skończyć.

-Możesz go sobie zatrzymać, kiedy się wyprowadzę - odparła spokojnie. - Nawiasem mówiąc, przyda ci się tutaj jeszcze parę mebli. Nie obraż się, proszę, ale twoje mieszkanie jest wyjątkowo nieprzytulne.

-Nie potrzebuję fotela - warknął. Do dalszych słów Katie ustosunkowywać się nie zamierzał.

-Więc będziesz mógł go sprzedać. Lub zatrzymać, dopóki się nie urządzę i nie zabiorę fotela od ciebie.

Z miny Coopera wywnioskowała, że proponowane rozwiązanie też mu się nie podoba. Nie odezwał się jednak ani słowem. Na plecach Katie, w nosidełku, Andy zaczął się nerwowo wiercić. Wiedziała, że jest głodny. Mimo to stała nadal bez ruchu, patrząc na Coopera. Tak bardzo pragnęła, żeby ich wzajemne Stosunki ułożyły się lepiej. Wreszcie dziecko zaczęło płakać. Katie odpięła paski i wyjęła niemowlę z nosidełka.

- Muszę zmienić Andy'emu pieluszkę i nakarmić go - oznajmiła spokojnie, patrząc na kapryszące dziecko. - Wybacz.

Szybko przeszła do sypialni. Zamknęła za sobą drzwi. An-

dy'ego i torbę z pieluszkami położyła na łóżku. Właśnie go przewijała, kiedy usłyszała pukanie.

- Proszę! - zawołała.

Drzwi otworzyły się powoli. Stał w nich Cooper. Przed sobą trzymał fotel. Bez słowa poszedł w kąt sypialni i postawił go pod oknem. Tak, by siedząc na fotelu było można patrzeć na rosnące nie opodal drzewo. Wyprostował się, spojrzał przelotnie na Katie i bez słowa wyszedł z pokoju, starannie zamykając za sobą drzwi.

Katie patrzyła z mieszanymi uczuciami na wychodzącego Coopera. Ściągając przez głowę bawełnianą koszulkę i rozpinając biustonosz, żeby nakarmić dziecko, zastanawiała się, jak jej się uda rozstać z tym człowiekiem, kiedy wraz z Andym będą musieli od niego się wyprowadzić.

Za oknem szalała burza. Cooper nie spał. Obrócił się na drugi bok. Obserwował krople deszczu spływające po szybie. W świetle ulicznej latarni połyskiwały jak brylanty. Pół godziny temu obudził go płacz niemowlęcia, które pewnie domagało się jedzenia, i potem już nie mógł zasnąć. W tym czasie nadeszła burza. Wiosenna ulewa przekształciła się w oberwanie chmury.

Seria błyskawic następujących szybko po sobie rozświetliła wnętrze pokoju. Po chwili dom znów pogrzyżył się w ciemności. Nagle jeden po drugim rozległy się grzmoty. Coraz głośniejsze. W pewnej chwili piorun uderzył tuż obok domu Coopera.

Zawsze lubił burze. Im były gwałtowniejsze, tym bardziej go pociągały. W szalejącej aurze odnajdował coś, co podtrzymywało go w jakiś sposób na duchu. Cieszyła świadomość, że są jeszcze zjawiska przyrody nie opanowane przez człowieka.

Nagle usłyszał jakieś odgłosy dochodzące od strony sypialni.

Akurat błyskawica rozdarła ciemność i na ułamek sekundy oświetliła wnętrze saloniku.

W drzwiach pokoju Cooper zobaczył Katie.

Miała na sobie obszerną, prawie męską koszulę z rękawami podwiniętymi do łokci. Tak kusa, że ledwie zakrywającą pośladki. Przez chwilę Cooperowi wydawało się, że dojrzał przerażenie malujące się na jej twarzy.

- Nie znoszę burz - szepnęła, krzyżując ręce na piersiach i pocierając nerwowo ramiona. - Potwornie się ich boję.

Cooper usiadł na kanapie i podciągnął kóldrę.

- Dlaczego?

Katie zaczęła zbliżać się do niego. Przyspieszyła kroku, słysząc następny, ogłuszający grzmot, od którego zatrzęsł się cały dom.

- Nie wiem. Zawsze się bałam. Wszelkich nie ujarzmionych, szalejących zjawisk natury. Burz w szczególności.

Cooper uśmiechnął się lekko.

-Właśnie przed chwilą myślałem, że to, iż nie poddają się żadnej kontroli, lubię w burzach najbardziej.

-Ja nie.

Stała przed nim, czekając, aż zaprosi, by usiadła obok na kanapie. Cooper wiedział, że jest to ostatnia rzecz, jaką powinien zrobić. Był prawie nagi, podobnie jak Katie. Nakarmiony Andy spał jak suseł w sąsiednim pokoju. W saloniku panowała ciemność, wokół szalała burza. Było romantycznie, podniecająco...

-Chcesz zostać tu przez chwilę? - zapytał mimo woli.

-Tak. - Z zapałem skinęła głową.

Przesunął się na brzeg kanapy, robiąc jej miejsce obok siebie.

Błyskawicznie znalazła się w pościeli i zwinęła w kłębek.

-Dziękuję - szepnęła.

-Nie ma za co.

Zamiast się uspokoić, burza rozszalała się jeszcze bardziej. Cooper widział, jak z każdą chwilą wzrasta niepokój Katie. Podciągnęła nogi pod brodę i zaczęła kołysać się na boki.

-Naprawdę lubisz burzę? - spytała z niedowierzaniem w głosie.

-Tak. A ty naprawdę się boisz?

-Tak.

-No to chyba dobrze, że tu jesteś.

-Chyba dobrze.

Katie wiedziała, że Cooper sypia w samych spodenkach. Teraz do pasa okrywała go kołdra. Nadal fascynował ją jego umięśniony, zarośnięty tors. Podłożył ramiona pod głowę. W nikłym świetle ulicznej lampy, wpadającym przez okno, Katie dostrzegła zarys silnych bicepsów.

Westchnęła głęboko. Z trudem oderwała wzrok od Coopera.

-Zauważyłem - odezwał się nagle.

-Co? - spytała.

-Jak mi się przyglądałaś.

-Nie wiem, o czym mówisz.

-Och, nie udawaj. To na nic się nie zda.

-Co na nic się nie zda?

Potrząsnął powoli głową, tak jakby nie miał ochoty na rozmowę.

- Gdy tu się pojawiłaś... Nie, do diabła, już wcześniej, kiedy byłem u ciebie w Chestnut Hill, poczuliliśmy coś do siebie. Jeśli zaprzeczysz, nazwę cię kłamczuchą. Dobrze wiesz, że mam rację.

Katie nadal wpatrywała się w Coopera.

-Nie zaprzeczę. Uważam cię za bardzo atrakcyjnego mężczyznę.

-Jestem pewny, że cię podniecam.

W dole brzucha Katie poczuła dziwne ciepło.

-To fakt - przyznała z wahaniem. - Podniecasz mnie.

-Ty mnie też.

Nerwowo zwilżyła językiem wargi. Nie miała pojęcia, co powiedzieć. Zdaniem Coopera była ciągle kobietą zamężną. I tylko to sprawiało, że zachowywał wobec niej dystans, do czego zresztą sam się przyznał. A co by było, gdyby wyjawiała, jak jest naprawdę? Co by się stało, gdyby się dowiedział, że ma do czynienia z wolną kobietą?

Świetnie pojmowała, co by się stało. I byłaby tym zachwycona.

- Cooper... - zaczęła, niepewna, jak wyznaczyć mu prawdę. Od razu jej przerwał.

-Mam nadzieję, że docenisz moje ogromne starania, żeby cię nawet nie dotknąć i żebyś mogła rozwiązać te twoje... jak je nazywasz... małżeńskie problemy. Sama wiesz przecież, jakim jestem facetem.

-Cooper...

-Miłym i przyzwoitym. Sama to przyznałaś.

-Cooper...

-Masz szczęście. W przeciwnym razie robilibyśmy to, czego nam nie wolno. Tak?

Uznała, że musi wreszcie powiedzieć mu prawdę. Chociaż równie dobrze mogłaby wrócić do sypialni, do Andy'ego, i zamknąć za sobą drzwi.

Usłyszała własny głos:

- William nie jest moim mężem.

ROZDZIAŁ ÓSMY

- Co powiedziałaś?

Czekając na odpowiedź Katie, Cooper wstrzymał oddech. Obawiał się, że źle ją zrozumiał.

- Powiedziałam... - odetchnęła głęboko - że William nie jest moim mężem.

Wzrok Coopera zatrzymał się na jej lewej dłoni. Widniała na niej wysadzana brylantami obrączka. Zobaczywszy, czemu się przygląda, podniosła dłoń.

-Tak. To obrączka - przyznała. - Dał mi ją podczas ceremonii ślubnej. Zachowałam to cacko tylko dlatego, że ma dużą wartość. A mnie będą potrzebne pieniądze. - Znów spojrzała na Coopera. - William nie jest moim mężem - powtórzyła. - I nigdy nim nie był. Kiedy braliśmy ślub, już miał żonę. Zapomniał tylko mi o niej powiedzieć. - Westchnęła ciężko. Z trudem ściągnęła obrączkę z palca i położyła na brzegu stolika obok kanapy.

-On nie jest moim mężem - oznajmiła znowu. -I nigdy nie był.

Cooper nie zdawał sobie sprawy z tego, że z całej siły zaciska dłoń w pięści. Ledwie słyszał, co mówi Katie. W głowie dudniła mu tylko jedna myśl.

Katie nie jest mężatką. Nie jest mężatką. Nie jest mężatką...

- Jak... jak to się stało, że odkryłaś prawdę? - zapytał wreszcie.

-Któregoś wieczoru, jeszcze przed urodzeniem się Andy'ego, odwiedziła mnie żona Williama. Legalna żona. Tamtego popołudnia między małżonkami wybuchła awantura, tuż przed wyjazdem służbowym Williama. Tym razem rzeczywistym. Pod czas kłótni William powiedział żonie o moim istnieniu. Wyjawiał swój plan. Dlatego właśnie się pakowałam. Musiałam uciec, zanim wróci z podróży.

-Swoj plan? Jaki?

Katie zaczęła chodzić po pokoju. Nie przerywała jednak mówienia.

- Jego żona nie może mieć dzieci. Jest bezpłodna na skutek jakiejś choroby, którą przeszła w dzieciństwie. Dowiedzieli się o tym dopiero wtedy, kiedy poszli do lekarza po roku jej bezowocnych prób zajścia w ciążę.

Katie zatrzymała się przy kanapie i usiadła obok Coopera. W dłoniach ukryła twarz.

-Williamowi szalenie zależy na dziecku. Koniecznie chce mieć syna. Usłyszawszy od lekarza, że ma bezpłodną żonę, zaczął wariować na punkcie potomka. - Katie podniosła głowę, odwróciła się i popatrzyła Cooperowi prosto w twarz. - Kiedy przyszła do mnie, miała podbite oko i spuchniętą wargę. Oświadczyła, że upadła, ale jej nie uwierzyłam. Było jasne, że kłamie. Nie wiedziałam jednak, czy William pobił ją dlatego, że miała do niego pretensje, czy też robił to regularnie. Na przykład dla tego, że nie mogła urodzić mu dziecka. Nie mam pojęcia. Wiem tylko, że Williama opanowała prawdziwa obsesja. Zrobił się nienormalny. Pogwałcił prawo i zniszczył uczucia innych ludzi.

-Zaczął szukać klaczy rozplodowej - niemal bezwiednie wyrwało się Cooperowi. Ledwie panował nad głosem.

-Prawdę mówiąc, nie wiem, czy już w chwili poznania mnie miał gotowy plan, czy też takie rozwiązanie dopiero potem przy-

szło mu do głowy. W każdym razie stanowiłam wręcz idealny obiekt jego machinacji. Bez rodziny, w razie kłopotów nie miałabym do kogo zwrócić się o pomoc. Może William dopiero później wpadł na swój szatański pomysł. O tym chyba nigdy się nie dowiem. Ale masz rację. W gruncie rzeczy szukał klaczy rozplodowej - z widocznym niesmakiem powtórzyła słowa Coopera. - Kobiety głupiej i naiwnej, która uwierzyłaby, że się w niej zakochał i ożenił się z nią z miłości. - Opuszcza głowę i znów skryła twarz w dłoniach. - Ja właśnie taka byłam. Głupia i bezgranicznie naiwna.

-Katie...

-Gdy teraz spoglądam wstecz, nie mogę uwierzyć, że dałam się tak potwornie oszukać. Pracowałam w restauracji jako kelnerka. Pewnego dnia William przyszedł na kolację i usiadł przy jednym z obsługiwanych przeze mnie stolików. Był mężczyzną bardzo przystojnym. I miał dużo pieniędzy. Nie było żadnego powodu, aby interesował się kimś takim jak ja. Jestem przekonana, że już wtedy miał gotowy plan. Zaczął mnie uwodzić. Byłam nim oczarowana. Umówiliśmy się na kolację, a po tygodniu zostałam jego żoną. To znaczy: wydawało mi się, że nią zostałam. Czułam się zupełnie jak bohaterka romansu. Wspaniały król wicz zakochał się w Kopciuszku i poślubił go. - Katie poruszyła się nerwowo. - Byłam zbyt łatwowierna. Masz rację, zarzucając mi, że za szybko zaprzyjaźniam się z obcymi. Powinam być znacznie ostrożniejsza. - Zerwała się z kanapy i znów zaczęła krążyć po pokoju. - Teraz już ułożyłam całą łamigłówkę. Wszystko do siebie pasuje. Wszystko ma sens.

-Co ma sens?

-Kiedy przenieśliśmy się do Filadelfii, prawie nigdy nie wychodziliśmy z domu. Sądziłam, że tak postępują bardzo za kochane pary i że William pragnie być ze mną sam na sam.

Zaszłam w ciążę wkrótce po ślubie. Byłam przekonana, że izolujemy się od innych ludzi dlatego, iż mój mąż jest człowiekiem znanym i bogatym. Myślałam... - Katie urwała. Westchnęła głęboko. - Nieprawda. Wcale tak nie myślałam. Mieliśmy z Williamem zaledwie kilku znajomych. W ich towarzystwie czułam się źle, a on sam przebywał ciągle poza domem. W stałych służbowych rozjazdach. Okłamywał mnie, bo w tym czasie wracał do własnego, prawdziwego domu. Po prostu czekał. Czekał na urodzenie się Andy'ego, by mi go zabrać.

Cooper siedział bez ruchu. Jego umysł przetwarzał usłyszane informacje. To, co mówiła Katie, było wiarygodne. Równie dobrze mogło być jednak scenariuszem jednego z kiepskich telewizyjnych miniseriów.

- A więc ten facet, William, poznał cię w Las Vegas, sfingował ślub, zapłodnił cię i wywiózł do Filadelfii, żebyś tam mogła urodzić mu dziecko, a potem zamierzał udawać, że wcale nie istniałaś? - Cooper potarł czoło. - Wybacz, ale mam kłopoty ze zrozumieniem tej historii. Jest mało prawdopodobna. Ma milion luk.

Katie przestała chodzić po pokoju. Stała i zapatrzyła się w okno o szybie pokrytej kroplami deszczu.

- Sądysz, że nie wiem, iż to wszystko wygląda niewiarygodnie? Wiele godzin spędziłam na wmawianiu sobie, że kobieta, która do mnie przyszła podając się za żonę Williama, była jakąś zwariowaną, zakochaną w nim babą, która chciała zniszczyć jego małżeństwo. Cooper, wiem, że to, co opowiadam, brzmi nieprawdopodobnie, ale... - Zrozpaczonym wzrokiem Katie popatrzyła na Coopera. - Ale tak właśnie było. Dlatego się ukrywam. Gdy William natrafi na mój ślad, odbierze mi dziecko. I nigdy więcej nie ujrzę Andy'ego.

Cooper potrząsnął głową.

- To bzdura. Nie zabierze ci dziecka. Po tym, co zrobił, żaden sędzia w całych Stanach nie pozwoli mu nawet zbliżyć się do Andy'ego. Jest bigamistą. Bije żonę. To oszust i kłamca. Masz chyba wystarczająco wiele dowodów, by wsadzić go do mamra. Katie opuściła głowę.

-Niczego nie rozumiesz - szepnęła.

-Czego nie rozumiem?

-William jest bogaty i bardzo ustosunkowany. On może zrobić wszystko.

-Czyżby?

-Tak. Podczas rozmowy z jego żoną dowiedziałam się, że w Las Vegas dał łapówkę, aby urzędowy zapis potwierdzający nasz ślub nie znalazł się w żadnych aktach. W Filadelfii bardzo się pilnował, żeby nikt nie łączył naszych nazwisk. Miałam osobne konto. Za wszystkie rzeczy dla mnie kupowane William płacił wyłącznie gotówką. Mieszkanie w Chestnut Hill jest na jego nazwisko. Twierdził, że swego czasu nabył je po to, żeby mieć gdzie nocować, gdy pracuje do późna i nie chce wracać po nocy do okręgu Bucks, gdzie ma główną siedzibę. Tak więc nie istnieje żaden ślad, że coś nas łączy. Tylko Andy - z westchnieniem dodała Katie. - Gdy William mnie odnajdzie, odbierze mi sądownie prawa do dziecka.

-Na jakiej podstawie?

-Och, ma kumpli także w sądach. Bez trudu zrobi ze mnie nieodpowiedzialną matkę. Jestem przecież kelnerką. Powie, że w knajpie w Las Vegas przyczepiłam się do niego. Przed sądem zrobi minę męczennika i przyzna się do błędu. Obieca też go naprawić, przejmując odpowiedzialność prawną za spłodzone ze mną dziecko. Uczyni ze mnie kobietę lekkich obyczajów, która przespała się z mężczyzną, prawie go nie znając. Z gruntu ze psutą, nie nadającą się na matkę. Taka kobieta nie powinna

wychowywać dziecka. Sąd da wiarę słowom Williama, nie moim. Jest człowiekiem znanym, ma wielu ustosunkowanych znajomych i przyjaciół. A ja co? Nie mam pieniędzy, pracy i domu, a więc żadnej możliwości utrzymania syna. William jest zamożny, może ofiarować dziecku stabilne i dobre warunki życia. Powiedz sam, jaki sędzia w tej sytuacji mnie przyzna opiekę nad Andym? Zwłaszcza przekupiony przez Williama?

Cooper musiał przyznać słuszność argumentacji Katie.

-Co na to jego żona? - zapytał. - Powinna cię poprzeć.

-Nie zrobi tego. Jest zastraszona.

-Przyszła ci z pomocą, ujawniając plany męża.

-Dlatego, że nie chciała wychowywać cudzego dziecka, owocu mężowskiego romansu. Zjawiała się u mnie w jednym tylko celu. Chciała, żebym rzuciła Williama. Przypuszczała, *i słusznie, że ucieknę, jeśli usłyszę o jego niecnym pianach.*

-Kiedy William uzyska prawa do dziecka, jego żona będzie musiała się nim zajmować - zauważył Cooper. - Może więc opowie się w sądzie po twojej stronie.

-Może - bez przekonania odparła Katie. - Ale to niewielka szansa. Nie zaryzykuję.

-A więc jesteś załatwiona.

-Tak.

-Chyba że... - Cooper urwał. Przyszła mu do głowy idiotyczna myśl. Nie zrobisz tego, stary, upomniał się surowo. Nie zrobisz tego nigdy.

Uznał, że nie wolno Katie zachować jego nazwiska w akcie urodzenia dziecka, mimo że w ten sposób ochroni je przed Williamem. Dopiero teraz zrozumiał motywy jej postępowania, ale na takie rozwiązanie nie zamierzał przystać. Nie zgodzi się ponosić prawnej odpowiedzialności za cudze dziecko.

W ogóle nigdy nie zostanie niczym ojcem. Genetycznie,

wszyscy Duganowie nie byli udani. Źle obchodzili się z dziećmi, a nawet je krzywdzili. I on, Cooper, sprawi, że ten ród zaginie.

-Chyba że co? - spytała Katie.

-Musi istnieć jakiś sposób, żebyś wykaraskała się z opresji - oznajmił szybko.

-Nie ma. Uwierz mi, Cooper. Gdyby był, już bym go znalazła. Będę musiała ukrywać Andy'ego przed Williamem aż do pełnoletności.

-Jak chcesz to zrobić? - zapytał z powątpiewaniem w głosie.

Podniosła się z kanapy i długimi krokami znów zaczęła przemierzać pokój.

-Nie obawiaj się. Nie zamierzam aż tak długo zostawać u ciebie. Wiem, że marzysz o tym, żebyśmy się stąd wynieśli. Pozwól mi spędzić w twoim domu tylko jeszcze jeden tydzień. Wprowadzę zmiany do aktu urodzenia Andy'ego. Więcej o nas nawet nie usłyszysz.

-Katie, chodziło mi o coś innego.

-O co?

Cooper wstał. Uprzytomnił sobie, że jest tylko w spodenkach, więc szczerze owinał się kołdrą. Podeszedł do Katie. Położył ręce na jej ramionach.

-Chodziło mi o to, że... - Nie wiedział, co powiedzieć. Miał zamęt w głowie. - Powtarzam, ty i Andy możecie zostać tutaj tak długo, jak będzie to konieczne. Chciałbym tylko móc cię zapewnić, że wszystko ułoży się dobrze.

-O to się nie martw. To mój kłopot, nie twój.

W nikłym świetle wpadającym przez okno Cooper dostrzegł łzy na twarzy Katie.

- Mylisz się - powiedział łagodnie. - To jest moje zmartwienie. Odkąd urodził się Andy, czuję się, jakbym... - urwał.

PRZEZNACZENIE

-Jakbyś co?

-Jakbym był za was odpowiedzialny. - Cooper potarł brodę.

- Gdy wtedy zniknęłaś ze szpitala, poczułem się tak, jakbym stracił... coś bardzo ważnego.

Zaskoczył ją tym wyznaniem. Rozchyliła wargi. Nieświadomie czubkiem języka dotknęła kącika ust.

To jeszcze bardziej wzmogło jego pożądanie. Cooper uprzytomnił sobie, że ta kobieta nie należy do żadnego mężczyzny.

Już nic nie mogło go powstrzymać przed wzięciem jej w ramiona i kochaniem się z nią. Chyba że ona by tego nie chciała. Spojrzenie oczu Katie wskazywało jednak na to, że mu nie odmówi.

Zanim zorientował się, co robi, wargami dotknął jej ust. Zareagowała natychmiast i pocałowała go. W pocałunku tym wyczuł desperację i samotność. Musiał go więc odwzajemnić.

Jej wargi miały niezwykły smak. Słodki i oszałamiający. Cooper zupełnie zatracił się w pocałunku. Wiedział, że gorzko tego pożałuje.

Stanowili przeciwieństwo. Tam, gdzie Katie była słaba, on był silny. Wyczuwał instynktownie, że ta kobieta wypełniłaby pustkę w jego sercu. Mogła stać się ocaleniem. I jego nadzieją. Przez głowę przebiegła mu jedyna rozsądna myśl. Nie powinien dopuścić do tego, by Katie nim zawładnęła.

Znów ją pocałował.

Całym ciałem przywarła do Coopera, wsunęła mu ręce we włosy. On zaś objął ją w talii. Przytuleni do siebie, przez chwilę trwali bez ruchu.

Potem Cooper pogładził lekko twarz Katie, przesunął dłoń po jej szyi i dotknął piersi. Pieścił je, a ona całowała go mocniej. Przypomniał sobie, że tego ranka ich zarys widział wyraźnie pod cienką tkaniną i bardzo pragnął ich dotykać.

Sprawnie rozpiął guziki koszuli i zsunął ją z ramion Katie.

Była śliczna. Znacznie ładniejsza, niż to sobie wyobrażał. Piersi miała ciężkie i krągłe. Wyprężone sutki. Pochylił się i językiem dotknął gładkiej skóry. Poczul, jak Katie przytrzymuje mu głowę.

- Dobrze roi - szepnęła.

Całował jej piersi. Potem przesunął dłonie w dół ciała. Zesztywniała, kiedy rozsunął jej uda. Zamknęła oczy. Oddychała płytko i nierówno. Cooper pieścił ją coraz żarliwiej. W pewnej chwili zadrżała i krzyknęła:

- Och, Cooper! Och, Cooper!

Zaprzagnął posiąść ją. Natychmiast. Opadł na kolana i pociągnął Katie. Szybko pozbyli się tego, co mieli na sobie.

Wszedł w nią. Bardzo powoli. A potem trzymając Katie mocno w objęciach, obrócił się tak, że znalazła się pod nim. Czul, że mógłby tak leżeć w nieskończoność. Katie Brennan dała mu schronienie, o jakim nawet nie marzył.

Teraz jednak liczyła się tylko ona i jej odczucia.

Zaczął ją pieścić. Łagodnymi, ostrożnymi ruchami. Przyciągała go do siebie. Kusila. Sprawila, że stracił panowanie nad ciałem. Nad swymi odruchami. Oboje równocześnie doznali rozkoszy.

Długo nie mógł oprzytomnieć. Nie wiedział nawet, gdzie się znajduje. Po dłuższej chwili dopiero poczul, że całym ciałem nadal przygniata Katie. Z trudem łapała powietrze. Dopiero wtedy Cooper uprzytomnił sobie, że on sam nie może złapać tchu.

Placz dziecka był mu na rękę. Bo nie wiedział, jak się zachować i co powiedzieć.

Katie wysunęła się spod Coopera, włożyła koszulę i pobiegła do sypialni. Zamknęła za sobą drzwi.

Leżał bez ruchu. Obserwował wychodzącą Katie. Jego

umysł pracował, a ciało było nadal kłębkiem podrażnionych nerwów.

Leżał bez ruchu. I intensywnie myślał. Zastanawiał się, jaki teraz, do diabła, powinien być jego następny ruch.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Cooper nienawidził tego, co zawsze następowało po fizycznym zbliżeniu. Dlatego nie spędzał z kobietami całej nocy. Gdyby musiał to zrobić, wolałby ich wtedy w ogóle nie oglądać. Niestety, w odniesieniu do Katie było to niemożliwe. Przebywali razem i to w niewielkim mieszkaniu.

Teraz, stojąc w kuchni i popijając poranną kawę, przepowiadał sobie w myśli wszelkie wymówki i tłumaczenia, które zafunduje Katie, aby umniejszyć ich...

Właściwie co umniejszyć? zastanawiał się. Przespali się z sobą. I to wszystko, bo żadne uczucie w ogóle nie wchodziło w grę. Był to jedynie seks, uznał, lecz szybko zmienił zdanie. Wcześniej uprawiał tę dyscyplinę. To, co odczuwał kochając się z Katie, było czymś więcej niż tylko seksem. Ale czym? Nie miał pojęcia.

Wychodząc z kuchni, natknął się na swą lokatorkę. Niosła na rękę dziecko. Szybko zszedł jej z drogi. Wzięła szklanką pomarańczowego soku i skierowała kroki do saloniku. Nie zareagowała na obecność Coopera. Potraktowała go jak powietrze.

-Katie - odezwał się, chcąc ją zatrzymać. Przystanęła natychmiast. Spojrzała na niego.

-Potrzebny mi adwokat - oznajmiła.

- Adwokat? - zdziwił się Cooper. - Przecież nie planowaliśmy tego, co się stało. Naprawdę uważasz, że trzeba w to wciągnąć jakiegoś prawnika?

Potrząsnęła głową.

-Nie, muszę porozmawiać z adwokatem o Andym. O tym, co zrobić, żeby William nie uzyskał prawa do syna. Miałaś rację, mówiąc, że warto pogadać z prawnikiem. Jedna porada chyba nie będzie bardzo kosztowna.

-Chyba nie.

- A to, co stało się w nocy, uznałam za niebyłe. Tylko za sen. Cooper wszedł za Katie do saloniku. Usiadł na drugim końcu kanapy.

-Często miewasz ostatnio takie sny? - zapytał. Milczała. Piła sok. - Bo ja tak.

-Wolę o tym nie mówić.

-W porządku.

-Byliśmy pobudzeni emocjonalnie. I nic więcej. - Cooper zamilkł, więc *go* spytała; - Jasne?

-Jasne - mruknął bez przekonania.

-Moje życie nagle legło w gruzach - ciągnęła. - Ostatnia rzecz, jakiej mi trzeba, to... - spojrzała na dziecko. - Znasz jakiegoś adwokata? - spytała.

Cooper pomyślał chwilę.

-Znam dwóch. Ale nie wiem, czy prowadzą takie sprawy jak twoja.

-Masz z nim jakiś kontakt?

-Mam.

-Dzisiaj pracujesz?

-Nie. Czemu pytasz?

-Mógłbyś trochę popilnować Andy'ego?

Nie miał na to najmniejszej ochoty. Chciał trzymać się jak najdalej od dziecka.

-Hmm... - mruknął.

-Wyjdę na krótko - obiecała.

-Nie sędzę...

-Będzie mi łatwiej rozmawiać z adwokatem, jeśli pójde bez małego.

-Ale...

-Cooper, zgódź się. Bardzo cię proszę.

-No, dobrze - przystał niechętnie.

-Dziękuję.

Cooper popatrzył na niemowlę. Wpatrywało się w niego uważnie ogromnymi, niebieskoszarymi oczyma i nagle uśmiechnęło się bezzębna buźką. Szeroko. Promiennie. Rozbrajającym uśmiechem.

- Muszę przyznać, że to, co mi pani opowiedziała, brzmi nieprawdopodobnie.

Katie popatrzyła na Lewisa Prentissa. Wynałazła go w spisie adwokatów, gdyż prawnicy, których polecił jej Cooper, specjalizowali się w sprawach karnych.

-Wiem. Ale zapewniam pana, że tak właśnie było.

-Proszę dodać parę szczegółów.

Ominęła je rozmyślnie. Nie chciała ujawniać tożsamości Williama. Mimo że sama wybrała Prentissa, nie miała do niego pełnego zaufania.

-Wolałabym o nich nie mówić - odparła. - Proszę tylko powiedzieć, jak ocenia pan moją sytuację.

-Uważa pani, że w Las Vegas nie ma w rejestrach śladu zawarcia małżeństwa?

-Nie ma.

-Czy ten człowiek jest na pewno ojcem dziecka?

-Na pewno.

-Potwierdzi to test genetyczny?

-Tak.

Lewis Prentiss popatrzył uważnie na swą klientkę.

- Sprawa jest trudna. Wszystko zależy od sędziego. Pani Brennan, będę z panią zupełnie szczerzy. Ojciec ma duże szanse uzyskania wyłącznej opieki nad dzieckiem.

Katie nie powiedziała, że na świadectwie urodzenia jako ojciec Andy'ego figuruje Cooper. Wołała nie udzielać adwokatowi tej informacji.

-Mimo że mnie oszukał? Popułnił bigamię?

-Jeśli w aktach nie ma żadnego dokumentu stwierdzającego zawarcie małżeństwa, nie ma dowodu, że pani prześladowca jest bigamistą. Brakuje zatem dowodu, że panią oszukał.

-Istnieje moje słowo - oznajmiła Katie.

-I istnieje jego słowo - dodał adwokat. - Ciekawe, komu uwierzy sędzia?

Katie westchnęła głęboko. Od dawna знаła odpowiedź na to pytanie. William zjawi się w sądzie elegancki, ubrany nienaganie. Z pewną siebie miną opowie o swym statusie społecznym wiceprezesa dużej, renomowanej firmy produkującej chemikalia. Opiszę zasługi dla społeczności miejskiej, wymieni wszystkie komitety, których jest członkiem.

A Katie? Będzie miała na sobie skromną sukienkę kupioną na wyprzedazy i powie sędziemu, że nie ma pracy ani rodziny oraz domu i pieniędzy. I żadnych życiowych perspektyw. Doda oczywiście, że bardzo kocha synka i zrobi wszystko, aby zapewnić mu jak najlepszą przyszłość.

Będzie to prawda, lecz niewystarczająca, by wygrać proces.

-Dziękuję za poradę - zwróciła się do Prentissa. - Bardzo mi pan pomógł.

-Proszę zostawić swój adres i telefon. Poszukam precedensów prawnych. Zadzwoń do pani, jeśli coś znajdę.

Katie skinęła głową. Nie miała zamiaru podawać adwokatowi

ani adresu, ani numeru telefonu. Już zdążyła popełnić jedną nieostrożność. Podała Prentissowi swoje nazwisko.

Znajdowała się w beznadziejnej sytuacji i dobrze o tym wiedziała. Marzyła teraz, by jak najszybciej znaleźć się przy Cooperze i móc przytulić się do niego. A także usłyszeć z jego ust słowa pociechy i otuchy.

Po wyjściu z kancelarii Lewisa Prentissa Katie odetchnęła głęboko. Dzień był wyjątkowo ładny. Niebo tak błękitne, jak rzadko kiedy. Zamknięta w czterech ścianach i pogrążona w smutnych myślach zapomniała o tym, że na świecie może być pięknie.

Pragnęła dzielić się z Cooperem codziennymi radościami płynącymi z wychowywania synka. Tym, co sama odczuwa, gdy Andy się uśmiecha lub żarłocznie ssie jej pierś. Miała tak wiele do powiedzenia, ale czy Cooper potrafi to zrozumieć?

Katie poszła na przystanek. Wsiadła do autobusu. Nie widzącym wzrokiem spoglądała na mijane domy.

Zastanawiała się nad jednym. Jak uda się jej zapewnić dziecku spokojne i dostatnie życie, jeśli bez przerwy będzie się ukrywała i obawiała, czy nie jest śledzona?

Cooper wyciągnął się obok spokojnie śpiącego chłopczyka. Przed pojawieniem się Katie nigdy nie kładł się na podłodze. Teraz robił to często, a raz nawet kochał się wtedy z kobietą.

Leżąc na dywanie, widział podniszczone nogi jedynego krzesła, jakie stało w saloniku. Dostrzegł chodzącego po ścianie pająka. Po raz pierwszy zauważył na dywanie ciemną plamę. Postanowił wypożyczyć specjalny sprzęt do prania obić i wykładzin. A w kącie pokoju, między szafką ze sprzętem stereo a kanapą, leżała na podłodze taśma z nagraniami Robbie'ego Robertsona, która gdzieś zapodziała się ponad rok temu.

- Do licha - mruknął pod nosem. - Z dołu wszystko wygląda inaczej.

Jakże trudno być niemowlakiem, pomyślał. Nikt cię nie rozumie. I nie wie, co naprawdę odczuwasz. A ty nie potrafisz sam nic powiedzieć. Umiesz tylko śmiać się, gaworzyć, krzyczeć i płakać.

Mimo to jednak Andy wydawał się całkowicie szczęśliwym małym facecikiem. Dużo spał, jak wszystkie niemowlaki. Głównie w dzień. Niestety, w nocy Katie musiała parokrotnie wstawać do niego. Czasami Cooper podchodził wtedy do drzwi sypialni i pytał, czy nie potrzebuje pomocy. I wtedy uprzytamniał sobie, że Katie piersią karmi dziecko. W żadnym razie nie był jej wówczas przydatny.

- Hej, Andy - zwrócił się do śpiącego smacznie niemowlaka. - Musimy pogadać o waszej sytuacji. - Oczki dziecka pozostały zamknięte, lecz wargi rozchyliły się lekko, tak jakby szykowały się do udzielenia odpowiedzi. - Oboje z mamą musicie wykaraśkać się z kłopotów - ciągnął Cooper. - Mieszkanie pod wspólnym dachem jest rozwiązaniem kiepskim. Wiesz, co mam na myśli?

Oczki Andy'ego rozwarły się szeroko. Zupełnie przytomnie spoglądały na Coopera. Przez chwilę wydawało mu się, że niemowlak naprawdę chce coś powiedzieć.

- A jakie jest na ten temat twoje zdanie? - pytał dalej Cooper. - Zrobimy, co zechcesz. Powiedz tylko, co.

Andy nadal wpatrywał się w twarz leżącego obok mężczyzny, a jego wzrok zdawał się mówić:

- Daj spokój, stary. Po co ta cała gadka? Przecież widzisz, że jeszcze nie umiem nawet sam przewrócić się na plecy. Do ciebie należy zajmowanie się mną.

Cooper miał zamiar zabrać dziecko do kuchni, gdzie będzie

mogło obserwować, jak przygotowuje sobie lunch, gdy nagle usłyszał, że otwierają się frontowe drzwi. Stała w nich Katie.

-Cześć - przywitała Coopera, wchodząc do saloniku. Cooper leżał jeszcze na podłodze. Ułożył się na brzuchu.

-Cześć. Jak poszło?

-Nie najlepiej.

Podeszła do kanapy i ciężko na nią opadła. Andy odwrócił główkę, żeby lepiej widzieć matkę, i zaczął radośnie gaworzyć. Roześmiała się i usiadła po turecku na dywanie. Ucałowała synka.

-W Mount Laurel znalazłam adwokata, który prowadzi takie sprawy - zaczęła. - Powiedziałam mu tylko to, co najważniejsze. Uważa, że w sądzie William ma duże szansę uzyskać wyłączone prawo do opieki nad dzieckiem.

-Ale nie jest tego pewny? - zapytał Cooper.

-Nie jest. W wielu stanach zaczął się ostatnio okres nagonki na samotne matki. Jeśli trafię na niewłaściwego sędziego, z mojej sprawy gotów zrobić proces pokazowy. Przegram z kretesem.

-Katie czule popatrzyła na Andy'ego. - Cooper, nie mogę go stracić. Nie mogę...

-Wcale nie musi tak się stać. Zasięgałaś porady tylko jednego prawnika. Są przecież inni. Mogą być odmiennego zdania.

-Powiedz mi to samo. - Nisko opuściła głowę.

-Katie... - zaczął Cooper łagodnym tonem.

-Mówiłeś coś?

-Nie możesz tego robić.

-Czego? - spytała zdziwiona.

-Bez przerwy uciekać przed ojcem dziecka, tak jak do tej pory.

-Dlaczego?

-Bo tak żyć nie można.

- Wiem. Ale czy jest inne wyjście?

Cooper długo wahał się z odpowiedzią. To, co zamierzał oznajmić, było chyba niezgodne z prawem, a dla niego samego szkodliwe, a nawet zabójcze.

-Tak, Katie. Jest.

-Mogę iść do sądu i na zawsze stracić dziecko.

-Co innego miałem na myśli. Jest jedno rozwiązanie.

-Jakie?

Cooper westchnął głęboko, a potem najszybciej, jak potrafił, zaczął wyrzucać z siebie słowa.

-Niech opiekę nad Andym przejmie jego ojciec.

-Co ty wygadujesz? Przecież William...

-William twierdzi, że jest ojcem - przerwał jej Cooper. - Mówię nie o nim, lecz o prawowitym ojcu dziecka. Tym, którego nazwisko figuruje w akcie urodzenia. - Mina Katie wskazywała na to, że dziewczyna nic nie rozumie, więc wyjaśnił: - To znaczy moje nazwisko. Pozwól, żebym stał się odpowiedzialny za Andy'ego.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

- Ty?

Katie wydawało się, że źle pojęła słowa Coopera. Dlaczego miałby zrobić coś takiego? Z jakiej racji podjąłby się opieki nad dzieckiem, które nie było jego biologicznym synem?

On jednak popatrzył jej prosto w oczy i poważnym tonem powtórzył:

-Tak. Ja. Wobec prawa jestem przecież ojcem Andy'ego. Czarno na białym stwierdzono to w akcie urodzenia.

-Ale...

-Katie! To jedyny sposób, żebyś mogła uzyskać prawną opiekę nad dzieckiem. Ty i ja możemy się pobrać...

-Pobrać?

-Tak. Zyskasz wtedy to, co sędzia zawsze uznaje za istotne. Rodzinę, dom i dochody wystarczające na utrzymanie dziecka. Oraz idealne warunki, żeby je wychowywać. Dostarczysz mu ojca. - Cooper popatrzył na Katie i uśmiechnął się lekko. - Może nawet uda nam się wymyślić jakąś trzymającą się kupy bajeczkę zaprzeczającą ojcostwu Williama i przedstawiającą faceta z jak najgorszej strony. Jeśli będzie trzeba, złożymy w sądzie zeznania. Fałszywe, ale podyktowane troską o dziecko. - Katie milczała. Cooper objął ją ramieniem i mówił dalej: - Jeśli nawet William Winslow dowiedzie, że jest ojcem Andy'ego, to i tak w sądzie będziesz miała argumenty świadczące na swoją ko-

rzyść. Jako moja żona zapewnisz dziecku godziwe warunki życia. Gorsze wprowadzie niż Winslow, ale całkiem znośne. I mały pozostanie ze swoją biologiczną matką. W sądzie to się liczy. A więc co? Czy mnie poślubisz?

Cała ta przemowa Coopera wywarła na Katie ogromne wrażenie. A propozycja małżeństwa wprowadziła ją w osłupienie. Nie wiedziała, co powiedzieć. Milczała.

Widząc zmieszanie Katie, Cooper dodał szybko:

- Pobierzemy się przynajmniej na jakiś czas. Aż Winslow zrozumie, że nie ma szans zdobyć Andy'ego. Niech ten łajdak szuka sobie następnej kłaczki rozplodowej.

Zaczęła kręcić głową. Całą uwagę skupiła na drugiej części wypowiedzi Coopera. Bo pierwszej, dotyczącej ślubu dla ratowania Andy'ego, w ogóle nie mogła brać pod uwagę.

-Musze być pewną, że William na zawsze da nam spokój i nie spróbuje w jakiś inny sposób odebrać mi dziecka. To czło wiek niepoczytalny. Stać go na wszystko. Następnym razem w podobnej sytuacji może okazać się groźny dla kobiety, która mu zawierzy. Może ją skrzywdzić. Ja miałam szczęście. Dla mnie był miły.

-Powiadasz, miły? - z niedowierzaniem powtórzył Cooper.

-■ Miałaś do czynienia z łobuzem. Przecież bił żonę. - Katie zobaczyła, że Cooper otwiera usta, żeby powiedzieć coś więcej, lecz się powstrzymał. Zamiast tego zapytał krótko: - No więc? Wyjdiesz za mnie?

-W żadnym wypadku.

-Nie musisz decydować od razu. Przemyśl sobie takie rozwiązanie.

-Nie muszę. Moja odpowiedź brzmi: nie. Nie zamierzam jeszcze bardziej rujnować ci życia.

-Katie...

- Cieszę się, że zaproponowałeś małżeństwo, ale nie mogę na nie przystać.

Musiał w ogóle nie przemyśleć takiego rozwiązania, uznała Katie. Nie brała pod uwagę wszystkich kłopotliwych następstw, które go czekały, gdyby się ożenił i uznał Andy'ego za własne dziecko. Taki układ związałyby ich na zawsze, bez względu na to, jak długo trwałoby to bezsensowne małżeństwo. Farsa, a nie małżeństwo, poprawiła się szybko.

Była jeszcze jedna sprawa, którą musiała brać pod uwagę. Jak mogła poślubić Coopera, nie wiedząc, co do niego właściwie czuje? Parę razy wydawało się jej, że go kocha. Ostatniej nocy, gdy byli z sobą, przez krótką chwilę nawet sądziła, że Cooper odwzajemnia jej uczucie.

Bzdura! Nieprawda! Wszystko to jest śmiechu warte. A ona sama jest skończoną idiotką.

Już raz zakochała się w facecie, w ogóle go nie znając. I co? Skończyło się to ucieczką. Jak więc mogła zawierzyć swym uczuciom w stosunku do Coopera? Z jej strony była to prawdopodobnie tylko wdzięczność okazywana za daleko idącą pomoc. I na tym koniec. Lub poporodowa reakcja hormonów sprawiła, że wydawało się jej, iż go kocha.

Gdyby się pobrali, ich małżeństwo szybko okazałoby się całkowitym fiaskiem. Przede wszystkim dla niej samej. Przecież Cooper szybko zorientuje się, jak wielką popełnił omyłkę, i porzuci swoją fikcyjną żonę. Wtedy jej życie potoczy się jak po równi pochyłej. Nie będzie wówczas możliwości ratunku,

-Jutro cię opuścimy - oznajmiła Cooperowi, przytulając do siebie dziecko.

-Jutro? - powtórzył zdziwiony. - Dlaczego?

Gdyby nie знаła prawdziwych odczuć Coopera, Katie mogła-by przysiąc, że w jego głosie zabrzmiało rozczarowanie.

-Za długo zawracaliśmy ci głowę - odparła. - A ponadto mam złe przeczucia. Nie podoba mi się ten adwokat, do którego trafiłam. Musimy z Andym przenieść się gdzie indziej.

-Gdzie indziej? Przecież nie macie dokąd pójść!

-Nie martw się. Jakoś sobie poradzimy.

-Śmiem w to wątpić. Kiedy tu się zjawiłaś, byłaś półżywa.

-Teraz będzie inaczej.

-Śmiem w to wątpić - powtórzył.

-Nie przejmuj się. Pamiętaj, że nie ponosisz za nas żadnej odpowiedzialności.

Nie czekając, co powie Cooper, wycofała się do sypialni. Położyła niemowlę i sama, wyczerpana, padła obok, na łóżko. To, że nie widziała możliwości rozwiązania swych kłopotów, nie było w tej chwili jej największym zmartwieniem. Gnębiło ją teraz coś zupełnie innego. To, że nie mogła przystać na propozycję Coopera. Bez względu na to, czy kochał ją, czy nie, czy była mu potrzebna, czy zbędna, całym sercem pragnęła z nim pozostać.

William mówił ciągle, że ją kocha. Cooper ani razu nawet nie wspomniał o miłości. I proponował tylko związek tymczasowy. Słowo „na zawsze” też nie padło w czasie ich rozmowy.

Przynajmniej jest uczciwy, pomyślała. Zdanie sobie z tego sprawy stanowiło dla niej jednak niewielką pociechę.

Przez dłuższy czas Cooper wpatrywał się w drzwi sypialni, za którymi schroniła się Katie. Nie pojmował, jak to się stało, że obiecał tej kobiecie złożyć w sądzie fałszywe zeznania. I czy rzeczywiście się jej oświadczył? Zaproponował, że stanie się prawowitym ojcem Andy'ego?

I czy uraziła go odmowa Katie?

Jasne, że nie.

Jedno było pewne, pomyślał. Dopóki Katie nie rozwiąże swych życiowych problemów, dopóty on sam nie zazna spokoju. Jeśli jutro się wyprowadzi wraz z dzieckiem, pogorszy to jeszcze całą sprawę. Czeką go wiele bezsennych nocy. Bez przerwy będzie się martwił o ich los.

Wolnym krokiem podszedł do drzwi sypialni. Zapukał.

-Słucham? - odezwała się Katie.

-Możemy pogadać?

-Później. Teraz karmię Andy'ego.

-To znaczy: kiedy?

-Już wszystko sobie wyjaśniliśmy.

-Chyba się mylisz.

-Cooper, daj mi spokój, proszę.

-Obiecuj, że ty i Andy nigdzie się nie wyprowadzicie, do póki nie sprawdzę jednej rzeczy.

-Jakiej?

Postanowił, że nic nie powie Katie. Nie chciał wzbudzać jej nadziei. To, co zamierzał uczynić, było strzałem w ciemno. Mogło jednak dać pozytywny rezultat.

Cooper miał mało przyjaciół, lecz za to wielu znajomych, także wśród prawników. Nie zaszkodzi rozesłać wici i poniu-chać, co w trawie piszczy, pomyślał.

-Wychodzę - oznajmił Katie. - Nie czekaj na mnie. Nie wiem, kiedy wrócę.

-Dobrze, nie będę czekała - odchrzyknęła przez zamknięte drzwi.

-Obiecuj, że nigdzie nie pójdziecie.

-Obiecuję.

-Powtórz to raz jeszcze.

-Obiecuję, że nigdzie nie pójdziemy, dopóki nie wrócisz do domu.

W głosie Katie nie wyczuł pełnej szczerości. Westchnął głęboko. No, cóż. Nie miał wyjścia. Jej przyrzeczenie musiało mu wystarczyć.

Gdy po północy wrócił do domu, Katie już spała. Jedyne dziecko było rozbudzone. Cooper cicho zamknął za sobą frontowe drzwi. Od razu usłyszał cichutkie kwilenie. Jak zwykle, niemowlę znajdowało się w saloniku, ułożone na kocyku. Obok niego leżała matka, pogrążona w głębokim śnie. Bezustanna ucieczka i nerwowe życie przez dwa miesiące zrobiły swoje. Pokonały tę kobietę. Skrajnie ją wyczerpały. Leżała teraz dziwnie nieruchomo. Gdyby nie pierś, lekko falująca przy każdym oddechu, można by pomyśleć, że nie żyje.

Z ogromną ostrożnością Cooper wziął Katie na ręce, zaniósł do sypialni i położył na łóżku. Jej zapach roztaczał się wokół. Cooper był ciekawy, jak długo utrzyma się w powietrzu po tym, gdy ta kobieta na dobre zniknie z jego życia. Miał nadzieję, że pozostanie na długo. Wiedział, że żadne ze związanych z nią wspomnień nie opuszczą go nigdy. Bez względu na to, czy będzie sobie tego życzył, czy też nie.

Wrócił do saloniku po Andy'ego. Wziął go w ramiona. Malec był miękki i ciepłutki. Roztaczał wokół siebie zapach specyficzny dla niemowlaków. Cooper zdał sobie z tego sprawę, kiedy po raz pierwszy przygarniał do siebie małego lokatora.

Zaniósł Andy'ego do sypialni, żeby znalazł się przy matce. To od niej w największym stopniu będzie zależało, jakim ten mały chłopczyk stanie się człowiekiem. Ona to bowiem wyrzeze na Andy'ego największy wpływ. Otoczy go serdecznością i miłością. Nauczy, jak uczciwie żyć.

Cooper zmienił niemowlakowi pieluszkę. Trzymając go na rękach, usiadł w bujanym fotelu. Rozkołysał fotel, odpychając

się nogą od podłogi. Monotonny, wahadłowy ruch powinien uspić rozbudzone dziecko. Wcześniej Cooper nie miał pojęcia, jak kołysze się dzieci do snu ani jak się je przewija. Dopiero teraz, dzięki Katie, nauczył się tego. Nadal nie mógł się nadziwić, że do chwili zamieci śnieżnej i przyjścia Andy'ego na świat był przekonany, że jest doświadczonym człowiekiem. Dopiero wtedy, tamtej pamiętnej nocy, okazało się, że o tym, co w życiu najważniejsze, nie wie w zasadzie nic.

Nie miał pojęcia, czym jest miłość matki do dziecka aż do chwili, w której zobaczył wyraz twarzy Katie, gdy zdała sobie sprawę z możliwości utraty synka. Bała się ogromnie. Jej strach udzielił się Cooperowi.

Pojął nagle, jak wielkim nieszczęściem dla tej kobiety byłoby odebranie dziecka. Zrozumiał jej emocje. Sam zaczął odczuwać podobnie.

Patrzył teraz na niemowlaka trzymanego na rękach, który z kolei bacznie mu się przyglądał. Jakże to niesprawiedliwe, pomyślał Cooper, że na takiej delikatnej, niewinnej istocie może na zawsze wycisnąć swoje piętno nieodpowiednie wychowanie. Co stałoby się z Andym, gdyby Winslow przejął nad nim opiekę? Jak potoczyłyby się dalsze losy tego dziecka? Z małego, słodkiego chłopczyka mógłby wyrosnąć człowiek zły i bezlitosny, taki sam jak jego biologiczny ojciec.

W skąpym oświetleniu pokoju Cooper przyglądał się dziecku, które utkwiło w nim swój wzrok. Powziął niezłomne postanowienie. Przrzekł sobie, iż nie dopuści do tego, żeby ów małeć wyrósł na złego człowieka.

Nie dopuści.

Za żadną cenę.

Przytulił chłopczyka i mocniej rozbujał fotel. Czuł teraz na szyi ciepły oddech Andy'ego i cichutkie bicie małego serduszka.

Tak wygląda nowe życie, pomyślał. Nieskomplikowane. Jak to się stało, że tego wcześniej nie dostrzegł?

Niemowlę wierciło się w objęciach Coopera. Nie mogło u-snąć. Zaczął nucić mu do ucha. Nie znał żadnych pieśni Ger-shwina, więc postanowił wybrać coś z repertuaru Sama Cooke'a, którego utwory bardzo mu się podobały. Zamknął oczy i zaczął śpiewać. Niskim, łagodnie brzmiącym barytonem. Piosenkę o jeszcze jednym, samotnie spędzanym sobotnim wieczorze.

Zanim dobrnął do drugiej zwrotki, dziecko już spało. Cooper nucił jednak dalej. Przede wszystkim dlatego, że był człowiekiem sumiennym. Nie znosił przerywania rozpoczętej roboty.

Dłonią mocno podtrzymywał pupkę Andy'ego. Nadal nie mógł się nadziwić, jak mało waży taki niemowlak. Pewnego dnia stanie się dorosłym człowiekiem. Może tak potężnie zbudowanym jak on sam? Na razie jednak malec ważył tyle co piórko.

Cooper przestał śpiewać. Otworzył oczy. Podniósł się z bujanego fotela, ciągle trzymając dziecko na rękach. Zamierzał położyć je obok matki. Rzucił okiem na posłanie i zobaczył, że Katie nie śpi. Był przekonany, że obudziła się jakiś czas temu. Siedziała teraz u wezłowania łóżka. Rękoma obejmowała kolana.

Widok ten pobudził zmysły Coopera. Zapragnął wziąć ją w ramiona, rzucić na łóżko, przykryć swoim ciałem i kochać się z nią aż do utraty tchu.

Nie zdając sobie sprawy z tego, że wyczuła jego pragnienia, wyszedł z pokoju, zabierając ze sobą Andy'ego. W saloniku położył go ponownie na brzuszku na kocyku rozpostartym na podłodze. Potem wrócił do sypialni. Zostawił lekko uchylone drzwi.

Ze wzrokiem utkwionym w Katie, bez słowa zbliżył się do łóżka. Objął ją, przygarnął i pocałował.

Miał to być pocałunek wyrażający całe jego wielkie pożądanie. Zamiast tego musnął kilkakrotnie ustami wargi Katie, a po-

tem opuszczoną głowę złożył na jej ramieniu. Wsunął palce we włosy Katie. Jej głowę odchylił delikatnie w tył, tak by mieć lepszy dostęp do nasady szyi. Odciągnął z ramienia bawełnianą koszulkę, czubkiem języka przesunął wzdłuż odsłoniętego obojczyka i znów dotknął wargami jej ust.

-Cooper - szepnęła. Odsunęła się. - Nie możemy tego robić. Już raz popełniliśmy błąd. Teraz byłoby znacznie...

-Ciii... - szepnęła, całując ją ponownie. Odsunął się nieco i do dał: - To jest sen. Tylko sen... - Zacisnął usta wokół warg Katie. Żarliwie odwzajemniła pocałunek, lecz zaraz potem znów się odsunęła od Coopera.

- To nie sen - odparła szeptem. - Moje sny nigdy nie bywają tak cudowne.

Zatopił zęby w ramieniu Katie. Aż jęknęła z wrażenia.

-Zgoda. A więc nie jest to sen.

-Cooper...

-Ciii... - uciszył ją ponownie. - Próbuję namówić cię, żebyś zmieniła zdanie.

Kiedy Cooper położył rękę na biuście Katie, westchnęła głęboko.

- Zdanie? Na jaki temat? - spytała szeptem.

Obejmując jej pierś na przemian otwierał i zamykał dłoń.

Zagiętymi palcami przesuwał po naprężonej sutce. Na pytanie nie odpowiedział.

- Och! - zajęczała. - Och, Cooper!

Zsunął rękę w dół, sięgnął po rąbek koszulki i, nie czekając na przyzwolenie, podciągnął ją w górę, zdjął z Katie i rzucił na podłogę obok łóżka. Potem odpiął biustonosz, który po chwili też wylądował obok koszulki. Cooper zanurzył twarz między gorącymi piersiami. Pieścił je, drażniąc skórę. Katie myślała, że oszaleje.

Czystym szaleństwem jest pozwolić Cooperowi na to, co z nią wyczynia, pomyślała. Nie zrobiła jednak niczego, by go powstrzymać. Z prostego powodu. Pragnęła jego pieśzczot. Kochanie się z Cooperem było z pewnością z jej punktu widzenia najgorszą rzeczą pod słońcem, jaką mogła teraz zrobić. Równocześnie była to może ostatnia w jej życiu okazja, by oddać się tak cudownym przeżyciom.

Jutro wraz z Andym na dobre opuści dom Coopera. Dziś więc może oddać mu się całkowicie. Tak, by móc na zawsze zapamiętać to przeżycie.

Zacisnęła palce na włosach Coopera i przyciągnęła go do siebie. Rozwartymi wargami pieścił jej pierś. Wodził czubkiem języka po podrażnionej ustami skórze wokół sutki.

Po chwili Katie poczuła ręce Coopera zaciskające się na jej talii. Rozpinał jej dzinsy. Pomogła mu i zaraz potem pozbyła się spodni i majteczek. Leżała teraz zupełnie naga.

Cooper też się rozebrał. Jego palce odnalazły intymne zakamarki ciała Katie. Doznawane pieśzczoty doprowadzały ją do szaleństwa. Budziły namiętność. Drażniły zmysły. Poddawała się im. Przestała nad sobą panować.

Po chwili ich ciała stały się jednością.

- Chciałbym wzbudzić w tobie nowe życie - zduszonym głosem wyszeptał Cooper. - Patrzeć, jak rośnie. Słyszeć pierwsze uderzenia serca dziecka. Obserwować, jak kopie swoją mamę. Katie, byłem przy tym, gdy rodziłaś. Pragnąłbym mieć z tobą dziecko.

Poddali się oszalamiającym pieśzczotom, jakich nigdy przedtem nie znali. Rozkosz osiągnęli równocześnie.

Potem leżeli mało przytomni, usiłując odzyskać siły. Cooper oparł się na łokciu i przyglądał Katie, która szybko zasnęła. Po raz pierwszy od chwili, w której ją poznał, wydawała się całkowicie odprężona. Na jej twarzy malował się błogi spokój.

Cooper uśmiechnął się. Był zadowolony. Położył głowę na poduszce i przygarnął Katie do siebie. Jutro będą musieli odbyć następną rozmowę, pomyślał. Jutro ponowi propozycję małżeństwa. Jutro zrobi wszystko, aby Katie Andy zostali z nim na zawsze. Od jutra, uznął zasypiając, czeka go nowe, lepsze życie.

Katie obudziła się z uśmiechem na twarzy. Obok spał Cooper. Na policzku czuła ciepło jego oddechu. Zza uchylonych drzwi dochodziło ciche kwilenie Andy'ego. Niemowlak zawiadamiał matkę, że zgłodniał, ale jeszcze nie domagał się gwałtownie śniadania. Za oknami panował mrok. Lekki wiatr kołysał otwartymi okiennicami.

Wszystkie kobiety powinny w taki sposób budzić się każdego ranka. Może jej samej też się to kiedyś uda, pomyślała Katie. Ostrożnie wyswobodziła się z objęć Coopera. Nie chciała go obudzić, ale musiała iść do dziecka. Wstała z łóżka. Włożyła majteczki i koszulkę. Cicho, na palcach przeszła do sąsiedniego pokoju. Wzięła Andy'ego na ręce, usiadła na kanapie i przystawiła go do piersi.

Usłyszała odgłos przejeżdżającego ulicą samochodu. Uprzytomniła sobie, że to już ranek. Kiedyś przecież musiała wstawać o tak wczesnej porze. O czwartej rano zrywał ją z łóżka ostry dzwonek budzika. Błyskawicznie wciągała na siebie strój kelnerki i na stojąco piła kawę. O wpół do piątej musiała stawić się w restauracji. Wtedy zjawiali się tam pierwsi śniadaniowi goście, których trzeba było obsłużyć szybko i sprawnie. Potem, zaraz po podaniu lunchu, biegła do domu, żeby uciąć sobie krótką drzemkę. Później znów wracała do pracy, żeby obsłużyć klientów przychodzących na kolację. I tak działo się dzień w dzień. Regularnie jak w zegarku.

Jedynymi znajomymi Katie byli wówczas tylko inni kelnerzy i Pracownicy restauracji, a także stali klienci. Było nudno. Nic więc dziwnego, że zwróciła uwagę na Williama. W jej monotonnym życiu brakowało rozrywek. Dlatego tak szybko dała mu się uwieść.

Było to dawno temu, pomyślała. Katie wydawało się, że od tamtej pory minęły całe wieki. A upłynęło zaledwie dwanaście miesięcy pełnego wrażeń życia.

Podążyła Andy'emu drugą pierś, a sama zaczęła drzemać. Obudził ją warkot silnika następnego samochodu. Tym razem nie minął domu, lecz zatrzymał się w pobliżu. Katie otworzyła oczy i spojrzała w okno.

Na widok tego, co zobaczyła, zamarło jej serce.

Na zakręcie ulicy stał czarny jaguar. Identyczny jak William. Nie, nie identyczny, poprawiła się szybko. Był to jego samochód! Ten wóz Katie rozpoznałaby nawet w ciemnościach!

Najedzony Andy zasnął w jej ramionach. Katie nadal siedziała bez ruchu. Była oszołomiona. Nie wiedziała, co robić.

Jak to się stało, że William ją znalazł? Kto mu powiedział, gdzie szukać? Co zrobi na widok Andy'ego? Wiedziała, że jest człowiekiem porywczym i skłonny do używania przemocy. Czy zrobi jej krzywdę? A dziecku? Co będzie z Cooperem?

Cooper!

Nagle Katie zrozumiała wszystko. To Cooper musiał powiedzieć Williamowi, gdzie jej szukać. Bo przecież nikt inny nie znał miejsca, w którym się schroniła. Nawet adwokatowi nie podała swego adresu. Podróżując bez przerwy przez dwa miesiące, robiła wszystko, by zatrzeć po sobie ślady.

Dopiero mieszkając u Coopera, przestała o to dbać, a także martwić się, że grozi jej niebezpieczeństwo. Uwierzyła, że jest bezpieczna, znajdując się pod jego opieką.

Przypomniała sobie pamiętną noc narodzin Andy'ego, kiedy to Cooper ni stąd, ni zowąd pojawił się w jej domu. Nie mógł to być przypadek. Z pewnością nasłał go William.

A może Cooper był człowiekiem uczciwym, który bezinteresownie pomagał jej i Andy'emu?

Katie nie umiała odpowiedzieć sobie na żadne z tych pytań.

Położyła niemowlę na kocyku i wróciła do sypialni po swoje rzeczy. Nie chciała obudzić Coopera. Walczyła ze łzami. Spojrzała na łóżko. Spał jeszcze. Wyglądał tak niewinnie!

Nie mogła dowierzać nikomu.

Znalazłszy się znów w saloniku, włożyła džinsy i bluzę od dresu. Śpiącego Andy'ego wsunęła w nosidełko i okryła kocykiem. Wzięła podróżną torbę i na palcach przeszła przez kuchnię do tylnych drzwi.

Kryjąc się w cieniu, szła tak długo, aż znalazła się co najmniej o kilometr od mieszkania Coopera. Zobaczyła restaurację czynną od wczesnych godzin rannych. Weszła do środka. Wraz z dzieckiem ulokowała się w najciemniejszym kącie.

Dopiero teraz po jej twarzy popłynęły łzy. Nie miała pojęcia, co robić dalej.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Coopera obudziło pukanie do frontowych drzwi.

- Katie? - wymamrotał półprzytomnie. Przesunął ręką po pościeli. Pod palcami wyczuł gładką, zimną tkaninę.

Katie nie było.

Zamknął oczy. Uprzytomnił sobie, że opuściła go kilka dni temu. Pewnego ranka zniknęła bez śladu. Wraz z dzieckiem rozplynęła się jak we mgle.

Zmusił się, żeby otworzyć oczy. Jego wzrok padł na bujany fotel stojący w rogu sypialni. I znów pomyślał o Katie. I o Andy m. Byli wciąż tak bardzo realni!

Pukanie do drzwi nie ustawało. Z niechęcią Cooper podniósł się z łóżka. Włożył stare dżinsy. Spojrzał na zegarek. Dopiero minęła dziewiąta rano. Po nocnej zmianie spał zaledwie godzinę.

Od zniknięcia Katie pracował nocami. Jej nieobecność łatwiej było mu znieść w dzień niż w nocy. A ponadto nocne zmiany były bardziej męczące. Nie miał czasu na smutne rozmyślenia.

- Już idę! - krzyknął, podchodząc do wyjścia. - O co chodzi? - zapytał, otworzywszy frontowe drzwi.

Stał w nich mężczyzna. Miał ulizane, wypomadowane włosy i dobrze skrojony garnitur, który wyglądał tak, jakby był szyty na kogoś wyższego. Cooper uznał, że gość wygląda na mydłka.

-O co chodzi? - powtórzył.

-Szukam niejakej Katherine Brennan - oznajmił mężczyzna.

- Nie tylko pan. - Mówiąc to Cooper nie mijał się z prawdą.

- Czego pan od niej chce?

Nieznajomy sięgnął do kieszeni. Wyciągnął wizytówkę i podał ją Cooperowi.

- Nazywam się Lowell Madison - przedstawił się. - Jestem adwokatem Williama Winslowa, który chce odnaleźć swego syna.

Cooper udawał, że czytanie wizytówki zajmuje mu dużo czasu. Intensywnie myślał. Zastanawiał się, w jaki sposób udało się Winslowowi powiązać jego osobę z Katie i czy miało to coś wspólnego z jej zniknięciem. Ulżyło mu trochę, gdy sobie uprzytomnił, że gdyby Winslow zdołał ją odnaleźć, jego adwokat nie zaszczyliłby go wizytą. Nie zmieniało to jednak faktu, że Katie zniknęła z jego życia. Nie miał pojęcia, co się z nią dzieje.

Nie wiedział, czy jest bezpieczna.

Cooper spojrział na adwokata z najbardziej obojętną miną, na jaką było go stać. Wzruszył ramionami.

-No to co?

-Pani Brennan jest matką tego dziecka. Mamy podstawy sądzić, że miejsce ich pobytu jest panu znane.

Cooper postanowił grać jak prawdziwy aktor. Wyprostował się i spojrział Madisonowi prosto w oczy.

-Słuchaj pan - zaczął. - Katie na syna. Ale to ja jestem jego ojcem. - Oddał adwokatowi wręczoną mu przed chwilą wizytówkę. - Nie znam żadnego Williama Winslowa. Nie wiem, kto to jest. Ale jeśli ten facet sądzi, że jest ojcem Andy'ego, to się grubo myli.

-Ale...

-Nie ma to zresztą znaczenia, bo kilka dni temu Katie wzięła nogi za pas i wyniosła się stąd. Nie mam pojęcia, gdzie teraz się podziewa.

Lowell Madison milczał. Ani na chwilę nie spuszczał jednak wzroku z Coopera. Wreszcie oznajmił:

-Może być oskarżona o uprowadzenie dziecka.

-Co pan wygadujesz? Przecież dzieciak jest jej. Pokłócili śmy się, ona zabrała małego i wyjechała. Słuchaj pan, to już zdarzało się przedtem. Potem wracała i wszystko grało. A zresztą to nie pańska sprawa.

-Myli się pan, panie Dugan. To jest moja sprawa - z naci skiem stwierdził adwokat. - Pan Winslow wynajął mnie po to, żeby odnalazł jego syna.

-Mam nadzieję, że pan to zrobi - mruknął Cooper. - Ale Katie i Andy to moja rodzina. I nie mam pojęcia, czego ten facet od nas chce.

-Jakiś czas temu pan Winslow i pani Brennan żyli z sobą - zaczął Madison. - I z tego związku urodziło się dziecko, które...

- Aha, już wiem, o kim pan mówi - przerwał mu Cooper.

-Chodzi o tego typu, którego Katie poznała w Las Vegas nie długo po tym, jak mnie spotkała. Nadzianego i żonatego. Mam rację? Bez przerwy się jej narzucał. Jęczał, że żona go nie rozumie, i obiecywał Katie kupę forsy, żeby się z nim przespała. Opowiadała mi, jaki ten facet był namolny.

-Panie Dugan, nie sądzę...

-Przyłaził na kolacje do knajpy. Nie dawał Katie chwili spokoju. Truł jej bez przerwy.

-Panie Dugan...

-Ciągnął ją do łóżka. Obiecywał płacić.

-Panie Dugan...

-Nawet chciał potem kupić od niej dziecko, kiedy zaszła ze mną w ciążę. - Cooper nie miał pojęcia, skąd taki pomysł w ogóle przyszedł mu do głowy. Uznał, że warto pofantazjować i po-

ciągnąć ten wątek. - Wyobraża pan sobie coś takiego? - zapytał Madisona. - Facet chciał kupić dzieciaka. To przecież nielegalne. Mam rację?

Wreszcie udało się Cooperowi zwrócić na siebie uwagę adwokata. Lowell Madison zainteresował się jego słowami. Z nieodgadnią twarzą przyglądał się rozmówcy.

- Dziecka nie planowaliśmy - ciągnął Cooper. - Tak jakoś wyszło. Ale kiedy usłyszałem od Katie, że Winslow namawia ją, żeby sprzedała dzieciaka, wkurzyłem się na faceta. Wielki ważniak, szanowany obywatel i w ogóle, a jak się zachowuje?

Madison milczał. Słuchał uważnie.

- Takiego cwaniaka trzeba by zaskarżyć do sądu. Opisać w gazetach, jak to chciał uwieść niewinną dziewczynę. A gdy to nie wyszło, zamierzał kupić od niej dziecko, bo żonę miał bezpłodną. To dopiero byłaby chryja! Skurczybyk miał szczęście, że nie natknął się na mnie. Jeszcze teraz chętnie bym mu przyłożył.

Madison nadal przyglądał się mówiącemu Cooperowi. Zapytał:

-Twierdzi pan, że jest biologicznym ojcem dziecka? Cooper skinął głową.

-Tak. Stwierdzono to w metryce.

-Potwierdzi pan w sądzie ten fakt?

-Jasne.

- Zzna pan, że panią Brennan poznał pan w Las Vegas i że po krótkim romansie zaszła z panem w ciążę i urodziła dziecko? I niedługo potem poznała mojego klienta, pana Winslowa, który najpierw molestował ją seksualnie, a potem, kiedy dowiedział się, że pani Brennan jest w ciąży i nie jest zamężna, chciał kupić od niej dziecko, bo jego żona jest bezpłodna? Zzna pan tak w sądzie pod przysięgą?

-Oczywiście - z przekonaniem potwierdził Cooper. - Katie i ja jesteśmy uczciwymi ludźmi. Gdy dowiedziałem się, że zaszła w ciążę, od razu chciałem się z nią ożenić. Ale nie była pewna, czy tego chce, więc postanowiliśmy przez rok żyć razem na kocia łapę. Na próbę. Zobaczyć, jak się nam będzie układało.

-Zamierza pan trzymać się tego zeznania? - zapytał Madison.

-Jasne.

-Rozumiem.

-To klawo.

-A więc zapewne pan Winslow i ja zobaczymy się w sądzie z panem i panią Brennan.

-Fajnie. Zawiadomcie tylko, gdzie i kiedy. O ile ją znajdziecie.

-Och, z pewnością znajdziemy. Pańskie opowiadanie, panie Dugan, jest mocno naciągane. Kiedy pan Winslow wrócił z podróży służbowej do mieszkania w Chestnut Hill, które zajmował wraz z panią Brennan, zastał je puste. A w koszu do śmieci od krył poplamioną krwią męską koszulę. Wydedukował, że ze względu na śnieżycę i nieprzejezdne drogi pani Brennan była zmuszona rodzić w domu i że pomocy udzielił jej jakiś mąż czyzna.

Cooper zacisnął zęby, lecz się nie odezwał.

-Mój klient także odkrył, że pani Brennan opróżniła swoje osobiste konto. Ten ślad donikąd nas nie zaprowadził, więc szukaliśmy dalej. Dowiedzieliśmy się, że w jednym ze szpitali zarejestrowano nowo urodzone dziecko i że w porodzie, który odbył się w domu, pomagał jakiś sanitariusz. Ustaliliśmy jego nazwisko i w ten sposób dotarliśmy do pana...

-Jeśli jesteście tacy cwani, to pewno wiecie, że w akcie urodzenia Andy'ego figuruję jako ojciec.

-Tak. Ale dzięki testowi DNA dowiedziemy przed sądem, że to nieprawda.

-Ja nie unikam odpowiedzialności. Odbierałem dziecko Katie, to fakt. Ale nie ze względu na to, że wykonuję zawód sanitariusza, lecz dlatego, że jestem jego ojcem. W przeddzień bardzo się poprzytykaliśmy. Katie uciekła do mieszkania w Chestnut Hill, żeby mnie rozzłościć. Następnego dnia pojechałem tam do niej. Winslowa nie było w domu. Zaczął padać śnieg, zrobiła się zawieja i zasypało drogi. Musiałem przyjąć poród, nie było innego wyjścia. Rano wezwałem karetkę i razem z dzieckiem pojechaliśmy do szpitala. Tam Katie wypełniła niezbędne papiery. Oczywiście podała, kto jest ojcem małego. To znaczy: wpisała moje nazwisko. - Cooper zamilkł na chwilę. Zastanawiał się, co tu jeszcze dodać, aby jego cały wywód stał się bardziej przekonujący. - Jeśli Winslow naprawdę zechce się procesować, jest jasne jak słońce, że Katie i ja bez problemu z nim wygramy. To, że facet jest nadziany i ma duże wpływy, wcale nie oznacza, że uda mu się przekupić sędziego. Mam rację?

Lowell Madison z ukosa spojrzął na Coopera. Zapytał:

- Chce pan wychowywać dziecko, którego ojcem jest inny mężczyzna?

Cooper z największą ochotą odparłby twierdząco na to pytanie. Zamiast tego jednak powtórzył z uporem:

- Andy nie jest dzieckiem innego mężczyzny. To mój syn. Adwokat Winslowa zastanawiał się przez chwilę. Włożył do kieszeni wizytówkę, którą zwrócił mu Cooper.

- Tak więc, panie Dugan - odezwał się sucho - wszyscy jesteśmy zainteresowani odnalezieniem pani Brennan i jej syna.

Cooper skinął głową.

- Aha.

Facet ma rację, pomyślał. Obserwując adwokata idącego w stronę zaparkowanego przed domem najnowszego modelu sportowego wozu, poprzysiął sobie, że on pierwszy odnajdzie Katie i Andy'ego.

Zamknął drzwi, wrócił do sypialni, żeby się ubrać, i znów mimo woli zatrzymał wzrok na fotelu na biegunach. Nagle doznał olśnienia. Uprzytomnił sobie coś, na co powinien wpaść znacznie wcześniej. Już wiedział, gdzie szukać Katie i Andy'ego.

-Conrad, wiem, że są u was. Pozwól mi zobaczyć się z Katie.

-Powiedziała, że nie chce cię oglądać.

-Nie odejdę, dopóki z nią nie pogadam.

Mężczyźni stojący na schodach wiodących do domu DiStefano w Haddon Heights zmierzyl się nieprzyjaznym wzrokiem. Obaj mieli na względzie dobro Katie, lecz żaden nie miał zamiaru ustąpić.

-Mówiłem poważnie - ponownie odezwał się Cooper. - Nie odejdę stąd.

-Ona nie chce cię widzieć.

-W porządku - ustąpił Cooper. - Jeśli chcesz, możesz być świadkiem naszej rozmowy.

Stary człowiek rozchmurzył się nieco.

- Mówiłem jej, że chyba może ci ufać. Ale ona nie dowierza już nikomu. Tylko Ginny i mnie.

Cooper zacisnął zęby. Niedawno Katie twierdziła, że ma zaufanie tylko do niego. Co sprawiło, że zmieniła zdanie? Weszli do domu. Po chwili ukazała się Katie.

-Cześć - przywitała Coopera.

-Cześć - odparł. - Możemy pogadać?

-Jak chcesz.

- Gdzie Andy?

Katie podejrzliwym wzrokiem popatrzyła na Coopera.

- Jest z Ginny - odrzekła po chwili wahania.

Byli sami, bo Conrad wyszedł z pokoju, lecz zostawił uchylone drzwi. Natychmiast usłyszałyby, gdyby Katie krzyknęła, i przyszedł jej z pomocą.

- Dobrze wyglądasz - stwierdził Cooper. Nie widział jej tyłko przez pięć dni. Dla niego jednak był to szmat czasu. - Jesteś wypoczęta. Pewnie więcej jadasz i dłużej śpisz.

Katie uśmiechnęła się lekko.

- Ginny wspaniale gotuje i nie pozwala mi w niczym sobie pomagać. Tak więc przez cały czas leniuchuję. Siedzę na kanapie, bawię się z Andym, oglądam filmy z wypożyczalni i rozwiązuję krzyżówki.

Coopera ogarnęły nagle wyrzuty sumienia. Powinien lepiej się nią zajmować, gdy u niego mieszkała. Nie pomagał jej w niczym.

-Katie, ja...

-Cooper, ja...

Równocześnie zaczęli mówić i od razu oboje przerwali. Roześmieli się trochę niepewnie.

-Ty pierwszy...

-Nie, ty...

Katie zawahała się na chwilę.

- Przepraszam, że tak ukradkiem wyniosłam się od ciebie. Przykro mi.

-Mnie też. Dlaczego to zrobiłaś? Znów się zawahała.

-Bo tamtego ranka William był pod twoim domem.

-Co takiego? - wykrzyknął Cooper.

-Około piątej rano wstałam z łóżka, żeby nakarmić An-

dy'ego, i przez okno zobaczyłam samochód Williama podjeżdżający pod twój dom.

-Skąd wiesz, że to jego wóz?

-Wiem. Od razu poznałam ten samochód.

-Widziałaś faceta?

-Nie. Siedział w wozie i obserwował nasze okna. Musiał mnie zauważyć.

-Jeśli dowiedział się, gdzie ma cię szukać, to dlaczego nie zadzwonił do drzwi?

-Nie mam pojęcia. Może sądził, że rano wraz z Andym wyjdę z domu. Albo czekał, żebyś ty opuścił mieszkanie i pojechał do pracy. Zabrałam więc małego i uciekłam przez kuchenne drzwi.

-Nic mi nie mówiąc.

-Przypuszczałam, że to od ciebie William dowiedział się, gdzie się znajduję. Nie byłam tego pewna, ale nie chciałam ryzykować.

-To nie ja doniosłem Winslowowi, gdzie może cię znaleźć. Uważasz, że byłbym do tego zdolny? - zapytał Cooper.

Katie spuściła wzrok.

-Nie wiem - odparła cicho. - Kto inny mógłby to zrobić?

-Každy z sąsiadów, którzy widzieli, jak wchodziłaś do domu i z niego wychodziłaś. Kierowca autobusu linii M. A może ten adwokat z Mount Laurel, którego odwiedzałaś? Lub DiStefano bądź jego żona?

-Nie bądź śmieszny.

-Przyznaj, że to możliwe.

-Jak to się stało, że przyszedłeś do mnie tego wieczoru, gdy urodził się Andy? Mogłam przypuszczać, że pracujesz dla Williama i że on cię przysłał.

-Już ci tłumaczyłem. Był to czysty przypadek.

-Być może - przyznała Katie. - W każdym razie sytuacja nie była jasna. Mogłam nie mieć do ciebie zaufania.

-A teraz masz? - zapytał Cooper. - Na tyle, żeby wrócić do domu ze mną?

Długo się zastanawiała.

- Przykro mi, że sprawiam ci zawód, ale wolę zostać tutaj z Conradem i Ginny.

W bezsilnej złości Cooper zacisnęła zęby.

- Rób, jak chcesz. Twoja sprawa. Ale uważaj, bo dzisiaj Winslow nasłał na mnie swego adwokata. Niejakiego Lowella Madisona.

Katie zbladła jak ściana.

-W jaki sposób udało mu się ciebie odszukać? - spytała.

-W koszu na śmieci w mieszkaniu w Chestnut Hill Winslow znalazł moją koszulkę poplamioną krwią. Wydedukował, że ze względu na śnieżycę musiałaś rodzić w domu i że ktoś ci w tym pomagał. Zaczął szukać dalszych śladów. Odnalazł szpital i zapis w rejestrze dotyczący Andy'ego. Ktoś w Szpitalu Świętej Teresy musiał powiedzieć mu o mnie i podać moje nazwisko. Potem już nie miał kłopotu z odnalezieniem mego domowego adresu.

-Co mówił Madison?

-Oznajmiłem mu, że jestem ojcem Andy'ego. I że od dłuższego czasu ty i ja żyliśmy razem. Tak właśnie powiedziałem.

- Cooper zamilkł na chwilę. Nabrał głęboko powietrza. - Dla ciebie i Andy'ego zrobiłbym wszystko - dodał. - Sądziłem, że o tym wiesz. No cóż, pomyliłem się.

Odwrócił się i wyszedł.

Katie patrzyła, jak Cooper podchodzi do dżipa, siada za kierownicą i zapala silnik. Włączył kierunkowskaz, ruszył i po chwili samochód zniknął za zakrętem ulicy.

Była oszołomiona. Nie miała pojęcia, co robić dalej. Musiała jednak podjąć jakąś decyzję. Jeśli popełni błąd, straci dziecko.

Wiedziała, że gra o najwyższą stawkę.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

Godzinę później Katie, z Andym ulokowanym w nosidełku, stanęła na schodkach prowadzących do mieszkania Coopera. Nie zdziwiła się, że go zastała. Gdy stanął w progu, zobaczyła, że nadal jest na nią zły, co też nie było zaskoczeniem. Jedną rzecz zrobiła na niej duże wrażenie. Zdumiał ją wygląd Coopera, Miał przed sobą człowieka skrajnie wyczerpanego.

Wcześniej tego nie zauważyła, gdy odwiedził ją u Ginny i Conrada DiStefano. Chyba dlatego, że usilnie starała się nawet nie patrzeć w jego stronę. Teraz przyjrzała mu się uważniej. Miał wychudzoną, zapadniętą, smutną twarz. Wyglądał na człowieka, którego męczy bezsenność.

-Nadal gniewasz się na mnie? - spytała wprost. W oczach Coopera zauważyła niepokój.

-Jasne, że nie - padła szybka odpowiedź. Zawahała się na chwilę.

-Mogę wejść? - spytała.

Błyskawicznie odsunął się na bok, ustępując jej drogi. Ręką zrobił przesadny, zapraszający gest.

- Oczywiście. Nie byłem pewny, czy zechcesz przyjechać. Obawiałaś się pewnie, że przywita cię tu Winslow ze swoją świtą, który rzuci się na ciebie i odbierze dziecko.

Katie nerwowo zagryzła wargi. Zrobiła krok do przodu.

- Wcale się tego nie obawiałam - odrzekła z przekonaniem.

- Coś cię jednak gnębi - stwierdził Cooper, kiedy przecho-
dziła obok niego.

Gdy znaleźli się w mieszkaniu, zamknął frontowe drzwi. Oparł się o nie, tak jakby chciał odciąć Katie drogę ponownej ucieczki. Sięgnęła do pasków podtrzymujących nosidełko, rozluźniła je i wyswobodziła dziecko.

- Możesz na chwilę wziąć ode mnie Andy'ego? - zwróciła się do Coopera. - Rozbolał mnie kręgosłup.

Jego wzrok natychmiast złagodniał.

- Oczywiście. - W jego głosie przebijała serdeczność. - Chętnie potrzymam tego facecika.

Katie podała mu dziecko. Zarówno na twarzy Coopera, jak i na małej buźce dziecka odmalowała się nieklamana radość. Cooper czule przygarnął do siebie niemowlaka, który wyciągnął pulchną rączkę i chwycił go za nos. Obaj cieszyli się ogromnie. Śmieli do rozpuku.

- Miło widzieć cię, mały - powiedział Cooper. - Pusto tu było bez ciebie. - Przeniósł wzrok z dziecka na Katie. - I bez twojej mamy.

Zanim Katie zdążyła się odezwać, Andy zaczął pisać. Były to dalsze objawy radości na widok Coopera. Aż się zaślinił. Rozluźnił paluszki zaciśnięte na nosie trzymającego go mężczyzny i rozpląszczył dłoń na jego policzku.

Cooper delikatnie nakrył dłonią łapkę niemowlaka. Nachylił się i pocałował go w policzek. Andy ucieszył się ogromnie. Podrygiwał i pisał coraz głośniej.

- Było tu za spokojnie bez ciebie i twojej mamy - znów odezwał się Cooper. - Bez jazzu, twoich wojowniczych okrzyków nawołujących do karmienia i bez plusku wody podczas kąpieli w łazience. Bez gaworzenia, a w nocy bez Gershwina.

Żadnej frajdy. - Cooper spojrział na Katie. Nadal miała minę smutną i niepewną. - Dobrze, że znów jesteście tutaj - dodał. - Zależało mi na tym, abyście wrócili.

Katie uważnie przyglądała się barczystemu mężczyźnie trzymającemu jej synka na ręku. Ogarnęły ją nagle wyrzuty sumienia. Jak mogła posądzać Coopera o to, że zamierza skrzywdzić ją i dziecko? Jakim prawem podejrzewała go o niełojalność i konszachty z Williamem? Był przecież absolutnym przeciwieństwem tego łajdaka.

Od chwili poznania Winslowa Katie nie miała do niego pełnego zaufania. Instykt podpowiadał jej, że przed tym człowiekiem powinna mieć się na baczności. Ale William był dla niej tak czuły i troskliwy, że odrzuciła wszelkie nurtujące ją wątpliwości. Była szczęśliwa, że wychodzi za męża. Zyskiwała oparcie i możliwość posiadania własnej rodziny.

Pewne obawy i z wątpienia jednak pozostały. Katie nie miała pełnego zaufania do męża. I nigdy nie była w pełni usatysfakcjonowana małżeństwem. W obecności Williama czuła się nieswojo.

Zupełnie inaczej rzecz się miała z Cooperem. Od pierwszej chwili, gdy go poznała, czuła się przy nim swobodnie. Była przeświadczona, że jest dobrym człowiekiem. Takim, któremu kobieta może zawierzyć bez zastrzeżeń. Co do uczciwości i lojalności Coopera nie miała żadnych wątpliwości. Aż do tego ranka, kiedy William niespodziewanie pojawił się pod domem. To panika wtedy sprawiła, że przestała dowierzać nawet najlepszemu przyjacielowi.

Teraz obserwowała go z czułością. Usiadł na kanapie i unióś Andy'ego do góry.

- Świetnie wyglądasz, mały - powiedział do niemowlaka.

- Mam wrażenie, że odkąd twoja mama zabrała cię ode mnie, urosłeś i zmężniałeś.

Cooper, przykro mi, że tak się stało. Bardzo cię przepraszam - odezwała się Katie. - Ja...

-Nie przepraszaj - odparł, nie odrywając wzroku od dziecka. - Miałaś na uwadze dobro Andy'ego. Do licha, pewnie zrobiłbym tak samo, gdybym był na twoim miejscu.

-Nie, nie zrobiłbyś.

Cooper podniósł wzrok, spojrzał badawczo na Katie, lecz się nie odezwał.

- Nie postąpiłbyś tak samo - powtórzyła. - Zawierzyłbyś mi. Zatrzymałbyś przy sobie mnie i Andy'ego.

Nadal lustrował ją wzrokiem. I nadal milczał.

- Dlatego że jesteś człowiekiem godnym zaufania - ciągnęła.

- Tak. Jest w tobie wrodzona uczciwość, której nie zniszczyły żadne przykre doświadczenia z dzieciństwa i wczesnej młodości, *gdy* nie oszczędzało ci życie. William jest twoim *przeciwnym*. Pochodzi z uprzywilejowanej społeczności, zamożnej rodziny, lecz ma zły charakter. Jest podstępny. Nieuczciwy. Ale ty...

Katie odetchnęła głęboko. Podeszła do kanapy i usiadła obok Coopera. Jedną dłoń położyła na jego policzku, a drugą na buźce Andy'ego. Uśmiechnęła się lekko.

- Ty - mówiła dalej - powinieneś stać się człowiekiem złym i podstępnym, a jesteś z gruntu dobry i uczciwy. Byłam zbyt głupia i przerażona, aby to wcześniej dostrzec.

Zdjęła dłoń z twarzy Coopera, nachyliła się i pocałowała go w policzek. Lekko i szybko. Tak jakby z obawą, że ją odtrąci.

Nie odtrącił jej ręki. Ani też się nie odsunął. Obrócił się w stronę Katie i na jej wargach wycisnął krótki, lecz mocny pocałunek. Potem odchylił się w przeciwną stronę, usadził Andy'ego na kolanie i objął malca ramieniem. Drugim przygarnął do siebie Katie.

Tym razem pocałunek trwał długo. Czubkiem języka wodził po zewnętrznym zarysie ust Katie, a potem ssał lekko jej dolną wargę.

Gdy rozchyliła usta i jęknęła z wrażenia, wsunął język głęboko. Katie ujęła w dłonie twarz Coopera, przyciągnęła go do siebie i zatopiła palce w jego jedwabistych włosach.

Tylko nieśmiały protest, jaki się wyrwał z gardziółka An-dy'ego, przerwał cudowne doznania. Katie i Cooper równocześnie oderwali się od siebie, uśmiechając się i z trudem chwytając oddech. Cooper nadal jednak trzymał rękę we włosach, a ona gładziła lekko jego policzek.

- Zupełnie nie pojmuję, jak mogłam ci nie ufać - szepnęła.

- Chyba mi wtedy coś odbiło.

Cooper ze wzruszeniem popatrzył na Katie.

- A mnie coś odbiło już w chwili, gdy cię poznałem - po wiedział.

Odwzajemniła uśmiech goszczący na jego twarzy.

-No cóż, w takiej sytuacji...

-Na ogół ludzie poznają się nawzajem w sposób bardziej tradycyjny. Idą na kolację, do kina i stopniowo dowiadują się o sobie różnych rzeczy. Wszystko to dzieje się znacznie wcześniej, zanim oboje sprawią, że na świecie pojawi się dziecko.

- A właściwie dlaczego mielibyśmy trzymać się tradycji? Uśmiech Coopera stał się jeszcze radośniejszy.

-Postępowanie zgodne z utartymi zwyczajami nie było nigdy moją zaletą.

-Wobec tego musimy stworzyć nasze własne tradycje.

W sekundę potem Katie pożałowała swych słów. Proponowała coś, czego w żadnym razie robić nie powinna. To prawda, że ją i Coopera zaczynało łączyć coś wyjątkowego. Nadal jednak

z żadnej strony nie było mowy o uczuciu. No i sprawa z Williamem wymagała definitywnego rozwiązania.

-Przepraszam - rzuciła szybko. - Nie chciałam...

-Katie - przerwał jej Cooper. - Nie przepraszaj.

-Nie chciałam, żeby moje słowa zabrzmiały właśnie tak.

-To znaczy jak?

-Tak jakbym... pasowała cię już na idealnego męża i ojca.

-Tak to zrozumiałem.

-Przepraszam. Ja...

-A co w tym strasznego?

-To że... - Urwała szybko. Zorientowała się, że Cooper wcale nie poczuł się urażony tym, co mu powiedziała.

-Co masz na myśli?

-Dokładnie to, co mówiłem. Co złego jest w tym, że wyobrazasz mnie sobie w roli męża i ojca?

- O ile wiem, to ci nie odpowiada. Potrząsnął głową i roześmiał się głośno.

-Mówiłem ci już przedtem i powtarzam jeszcze raz. Jestem prawowitym ojcem Andy'ego. W jego akcie urodzenia masz to czarno na białym.

-Ale...

-Hej, nawet pamiętam tę noc, której go poczęliśmy. Z największą przyjemnością opiszę tę scenę przed każdym sądem.

-Ale, Cooper...

-Działo się to w lecie. W Newadzie. Waśnie tamtędy przejeżdżałem. Zawsze miałem ochotę zwiedzić Las Vegas i okolice.

-Cooper, nie musisz...

-W Las Vegas poznałem wspaniałą dziewczynę - ciągnął, oddając się fantazjowaniu.

Katie milczała. Wiedziała, że nie uda się jej powstrzymać Ccjopera. W zamyśleniu patrzyła przed siebie.

Niemal zapomniał o jej obecności.

-A więc w Las Vegas poznałem świetną dziewczynę - po wtórzył rozmarzonym głosem. - Śliczną, seksowną kelnerkę. Zakochałem się w niej od pierwszego wejrzenia. Była to miłość z wzajemnością. Pewnego wieczoru wybraliśmy się na przejażdżkę. O tej porze roku, Wysoki Sądzie, pustynia wygląda bajecznie. Znaleźliśmy tam ustronne, romantyczne miejsce. Zaparkowaliśmy. Syciliśmy wzrok pięknym widokiem. Niebo było rozgwieżdżone. Pocałowałem Katie pierwszy raz. A potem... Wysoki Sąd wie dobrze, jak to jest. Dziewięć miesięcy później urodził mi się syn. No i, Wysoki Sądzie, proszę sobie wyobrazić nasz szok i przerażenie, kiedy niejaki Winslow zaproponował Katie, kiedy była jeszcze w ciąży, że kupi od niej dziecko, gdy tylko przyjdzie na świat.

-Och, Cooper...

-Tak więc Wysoki Sąd może sobie wyobrazić nasz szok...

-Co ty wygadujesz?

Cooper obdarzył Katie szerokim uśmiechem.

- Kiedy zjawił się u mnie Lowell Madison, na poczekaniu wszystko to sobie wymyśliłem.

Katie spojrzała badawczo na Coopera.

- Co mu powiedziałeś? Powtórz dokładnie.

Cooper zwięźle zrelacjonował wersję wydarzeń, którą podał adwokatowi Winslowa. I uzupełnił przekazaną Madisonowi uwagę, że Cooper i Katie mają w sądzie większe szansę niż jego klient. Bo stanowią rodzinę.

- Słuchaj...

Cooper jednak nie słuchał. Rozozochocony, perorował dalej. W stosunku do fałszywego męża Katie zdobył się nawet na wspaniałomyślność.

- Proszę Wysokiego Sądu - ciągnął - Winslow wpadł na

chory pomysł, ale być może nie jest to człowiek z gruntu zły i miał dobre intencje. Pewnie sądził, że zabierając Katie dziecko i płacąc za nie, ułatwi jej życie. Nie do pomyślenia byłoby jednak, proszę Wysokiego Sądu, zezwolić obcemu człowiekowi wychowywać niemowlę, którego nie darzy uczuciem. Dziecko powinno być otoczone miłością dwojga ludzi. Mam rację, Wysoki Sądzie?

Zamilkł, ale tylko na chwilę, żeby nabrać powietrza. Nagle zobaczył utkwione w sobie spojrzenie Katie.

Milczała.

- I właśnie dlatego, Wysoki Sądzie - podjął ze zdwojoną energią - postąpię tak jak każdy uczciwy mężczyzna. Nadeszła odpowiednia chwila, żebym wziął na siebie pełną odpowiedzialność za dziecko i matkę. Zamierzam niezwłocznie poślubić pannę Brennan. Kocham ich oboje. Bez Andy'egi Katie nie wyobrażam sobie dalszego życia.

Katie nie mogła ochłonąć ze zdumienia. Gdzieś w połowie przemówienia wygłaszanego przez Coopera zorientowała się, że mówi on zupełnie serio. Gdy przedtem złożył jej propozycję małżeństwa, wiedziała, że nie jest to pomysł do końca przez niego przemyślany. Ale teraz? Wszystko wskazywało na to, że naprawdę chce się z nią ożenić.

Najpierw poczuła się szczęśliwa, zaraz potem jednak ogarnęły ją wątpliwości. To, co sugerował Cooper, nie nadawało się do realizacji. Była o tym przekonana. W żadnym razie nie powinien kłamać w sądzie. Wcześniej czy później miałyby z tego powodu kłopoty. Ale fakt, że Cooper zapragnął się z nią ożenić i uznać Andy'ego za własne dziecko, zrobił jej ogromną przyjemność. Oświadczywszy przed chwilą, że się z nią ożeni, Cooper dodał jeszcze jedno. Że kocha...

Kocha?

Nie musiał tego mówić. Chyba... chyba że to prawda.

-Wcześniej obmyśliłeś sobie to wszystko. Mam rację? - za pytała ostrożnie.

-Tak.

-Kiedy to zrobiłeś?

-Wpadłem na ten pomysł podczas rozmowy z Madisonem. Ale dlaczego przyszedł mi do głowy, nie mam pojęcia. - Cooper roześmiał się. - Może stało się tak za sprawą przeznaczenia? Może to ono podpowiada mi tak szalone pomysły?

-A co do małżeństwa - sondowała dalej Katie - od jak dawna nosisz się z tym... szalonym pomysłem?

-Przyszedł mi do głowy tego dnia, którego wybrałaś się do adwokata. Po twoim powrocie. Kiedy zobaczyłem rozpacz na twojej twarzy na samą myśl o tym, że mogłabyś stracić Andy'ego.

Katie uśmiechnęła się. Obdarzyła Coopera czułym spojrzeniem.

-Jesteś kochany. Twój gest bardzo mnie wzruszył. Ale nie mogę przystać na takie rozwiązanie. Nie dopuszczę do tego, żebyś zrujnował sobie życie, zawierając fikcyjne małżeństwo. Przecież nie ponosisz żadnej odpowiedzialności ani za mnie, ani za Andy'ego. Nie zgodzę się na to, żebyś...

-Tu się mylisz - przerwał jej Cooper. - Jestem odpowiedzialny za ciebie i małego. Od chwili w której przyszedł na świat. Nazwij to, jak chcesz. I, co więcej, kocham was oboje.

-Cooper, nie musisz mnie oszukiwać. Jestem dorosła i silna. Dam sobie...

-Powiedziałem prawdę. Jeszcze nigdy w życiu nie twierdziłem czegoś bardziej serio. - Wolną ręką przyciągnął Katie. - Do piero gdy zacząłem mieć was przy sobie, zorientowałem się, jak puste było moje dotychczasowe życie. Rano wstawałem, jecha-

łem do pracy, wracałem do domu i kładłem się spać. - Cooper podrapał się w głowę. - No, dobrze, od czasu do czasu udało mi się uratować komuś życie - wymamrotał. - Ale czy zrobiłem coś, aby ocalić własne? Nie. Absolutnie nic. Dopóki się nie pojawiliście. Ty i Andy.

-To ty uratowałaś nasze życie - uzupełniła Katie. - Myśmy dla ciebie nie uczynili niczego.

-Mylisz się, Katie. Kiedy stanęłaś przed moimi drzwiami, zdałem sobie sprawę z tego, jak bardzo było mi cię brak. Zapragnąłem mieć was na zawsze. Ciebie i Andy'ego. Przyznaję uczucie, sam nie wiem, jak to się stało, ale pokochałem was oboje.

-Ja też cię kocham - szepnęła bezwiednie Katie. - Od pierwszej chwili czuję się przy tobie wspaniale. Tak, jakbym znalazła moje właściwe miejsce.

Cooper skinął głową i *obdarzył* Katie czułym uśmiechem. Jeszcze mocniej ją przygarnął, żeby udowodnić, jak idealnie do siebie pasują.

-Może to szaleństwo - odezwała się z rozbawieniem. - Ale masz rację. Ty jesteś moim przeznaczeniem. Moim i Andy'ego.

-No i co z tym wszystkim poczniemy? - zapytał Cooper głosem pełnym uczucia.

Katie westchnęła głęboko.

- Nie wiem. Na razie czeka nas konfrontacja z Williamem. Z jego poplecznikami i przekupionym sądem. Jeśli nawet będziem się trzymać wymyślonej przez ciebie wersji wydarzeń i w ten sposób popełnimy krzywoprzysięstwo, to i tak... - Katie nie była w stanie dokończyć zdania. Jej ciało przebiegły dreszcze. Odchyliła głowę i wzrokiem pełnym rozpaczyny popatrzyła na Coopera. - Powiedz, co z nami będzie? Co zrobimy? - spytała.

Odparł spokojnie, bez chwili wahania:

- Winsłowa ujrzymy w sądzie.

PRZEZNACZENIE

149I co się stanie?

-Mamy nad nim przewagę. W akcie urodzenia figuruję prze cież jako ojciec Andy'ego i chętnie potwierdzę to pod przysięgą.

-Nie pozwolę na to. Nie będziesz składał fałszywych ze znań.

-Przekonasz się, że nie będę musiał. Winslow nic nam nie zrobi. Chyba że zechce spróbować uprowadzić dziecko.

Katie zrobiła się blada jak ściana. Złapała Coopera kurczowo za rękę.

Roześmiał się bez trosko.

-Już ci mówiłem, Winslowa zobaczymy w sądzie. I to za kratkami. Nie będzie miał okazji zabrać nam Andy'ego. Wyszło na jaw, że facet od ośmiu lat okrada swego partnera. Oszukał go na ponad trzy miliony dolców.

-Co takiego?!

-Któregoś wieczoru spotkałem się ze znajomymi prawnika mi. Wczoraj donieśli mi o Winslowie.

-Co?

-Handlował nielegalnie elementami uzbrojenia z przed stawicielami rządów, których nasze władze nie kochają. Postępek Winslowa ocenią surowo. On i jego ustosunkowani kumple mają być aresztowani. Facet nie tylko okazał się zdrajcą narodu, lecz także pospolitym złodziejem.

Ostłupiała Katie nadal nie mogła uwierzyć w swoje szczęście.

- Moi znajomi zainteresowali się jego przeszłością - ciągnął Cooper. - Okazało się, że od pewnego czasu FBI prowadzi prze ciw niemu dochodzenie. Mówię ci, zapudłują faceta na długie, długie lata. Zanim wyjdzie na wolność, Andy stanie się dorosłym człowiekiem. - Przyciągnął Katie do siebie i mocno ją pocałował. - A przedtem chłopak będzie miał przyzwoitego ojca. Przy rzekam, że będę dla niego dobry.

-To przeznaczenie. Prawda? - odezwała się Katie.

-Jasne. Kto odważy przeciwstawić się losowi?

-Ja nie.

-Ja też nie.

Usłyszeli głośne popiskiwanie. Spojrzeli na niemowlaka i zobaczyli, że śmieje się radośnie.

Poculi nagle, że stali się rodziną. Byli przekonani, że czeka ich wspólna, szczęśliwa przyszłość.

EPILOG

-W porządku, Andy, zaczynamy.

-Jeszcze nie.

-Poczekaj chwilę, aż tata włączy kamerę.

-Już, synku. Teraz, kochany, *możesz zdmuchnąć* świece.

-Mamo, proszę, przestań mówić do mnie jak do dziecka.

-Przepraszam, więcej nie będę. Ale wiesz dobrze, jak tata i ja lubimy mieć wszystko udokumentowane. Zapisujemy dzieje rodziny Duganów. Pamiętaj, trzynastcie lat kończysz tylko raz.

-I dzięki Bogu.

-Andy, zdmuchnij świece, jak prosiła mama.

-Dobrze, dobrze. Tato?

-Słucham?

-Nie zdjąłeś osłony z obiektywu.

-Och, gapa ze mnie. Już jestem gotów. A więc, synu, zabieraj się do roboty.

-Proszę wszystkich o uwagę! Zaraz Andy zdmuchnie świece.

-Pomożemy ci! Pomożemy! Pomożemy!

-Mamo, musiałaś mieć jeszcze troje dzieci? Dlaczego nie jestem jedynakiem?

-Hmm, jest coś, co oboje z tatą chcemy ci powiedzieć.

-Och, nie! Tylko nie nowe dziecko! Ostatnim razem w szes'ć miesięcy po takiej gadce urodziła się Megan.

- Andy, mama i ja byliśmy przekonani, że będziesz zadowolony. Masz trzy siostry. Przyda ci się młodszy brat.
- Tato, kpisz sobie ze mnie?
- Nie. W naszej rodzinie kobiety mają liczebną przewagę. Trzeba coś z tym zrobić.
- Co?
- Hmm, Andy, wszystko wskazuje na to, że urodzę bliźniaki.
- Bliźniaki? To straszne. Mamo, chyba nie mówisz poważnie. Chcecie być lepsi od Ginny i Conrada?
- Hej, mały, nas zostaw w spokoju.
- Przepraszam, Conradzie, jeśli cię uraziłem.
- Nic się nie stało.
- To będzie... niech policzę, sześcioro dzieci?
- Nie przejmuj się. Masz własny pokój.
- Jeśli mama i tata się nie opamiętają, dla nikogo nie będzie miejsca.
- Och, Andy, przestań narzekać. Tak czy inaczej potrzebny nam większy dom. Przybywa mi ciągle nowych uczniów śpiewu i muszę rozbudować studio. Ale pozostaniemy w Pennsauken. Nie będziesz musiał zmieniać szkoły. Jestem przekonana, że Melody Applebaum bardzo się z tego ucieszy.
- Eee tam, ona jest gruba.
- To czemu godzinami rozmawiasz z nią przez telefon?
- Mamo...
- Każde dziecko będzie miało własny pokój. Powiedz szczerze, czy to nie cudownie żyć w tak dużej rodzinie? Nie chcesz mieć młodszego rodzeństwa? Nie lubisz bliźniąt?
- Hmm... Niech będą. Ale pod warunkiem, że urodzi się co najmniej jeden chłopak.
- Poczekamy i zobaczymy, co się wydarzy.
- Mamo, czy wreszcie przestaniesz mnie obcałowywać?

- Andy, wszystkiego najlepszego w dniu twoich urodzin.
- Dzięki, mamó.
- I pomyśleć, że jesteś już taki duży. Jak ten czas leci! Trzy naście lat temu była to pamiętna noc. Prawda, Cooper?
- Tak, Katie.
- Mamo, przestań. Milion razy słyszeliśmy tę historię. Cud podczas śnieżnej zamieci?
- Tak.
- Pojawił się tata i nas ocalił?
- Tak.
- Jak rycerz w lśniącej zbroi, który obronił bezradną kobietę i jej dziecko przed smokiem ziejącym ogniem?
- Tak.
- A potem Lewis Prentiss, świetny adwokat i przyjaciel rodziny, załatwił złego smoka?
- Tak.
- Zwyciężyła prawdziwa miłość?
- Tak.
- Och, do licha, przestań mnie znów całować!
- Andy? _____
- O co chodzi?
- Zdmuchnij świecezki.
- No, dobrze, już dobrze...